Nr. 1. Warszawa, dnia 26 Grudnia 1898 r. (7 Stycznia 1899 r.). Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

KONKURS POETYCKI.

Jeden z przyjaciół *Prawdy*, który życzy sobie pozostać bezimiennym, złożył nam 500 rubli jako nagrodę konkursu na utwór poetyczny. Ogłaszamy więc ten konkurs na warunkach następujących:

1) Co do formy: utwór ma być napisany wierszem w jakiejkolwiek postaci, stanowić całość artystyczną, nie mniejszą wszakże, niż 500 wierszy. Może on więc być poematem lirycznym, opisowym, fantastycznym itd.

2) Co do treści: Wybór jej nie podlega ograniczeniu, z tem tylko zastrzeżeniem, że wątek powinien być swojski.

3) Utwory przedtem drukowane są wyłączone z konkursu.

4) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów 1 czerwca 1899 r. do redakcyi *Prawdy*.

5) Do rękopisu powinna być dołączona zamknięta koperta z jego tytułem i godłem, zawierająca nazwisko autora.

6) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora.

Sąd konkursowy stanowią: Antoni Gustaw Bem, Stanisław Krzemiński, Ignacy Matuszewski, Leopold Meyet, Wacław Sieroszewski, Aleksander Świętochowski, Stefan Żeromski.



Rok 1898.

I.

Najważniejszym, bo najgłębiej w stosunki polityczne świata całego sięgającym, wypadkiem ubiegłego roku jest zjawienie się nowego mocarstwa wszechświatowego: Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wielka rzeczpospolita amerykańska dotychczas była państwem w sobie przeważnie zamkniętem i w sobie żyjącem; jako mocarstwo wolą i potęgą swoją na zewnątrz działające i czynne, nie sięgała po za Amerykę, i tu jeszcze wpływy jej nie przekraczały przesmyku panamskiego: nieznać ich było w ustawicznych wstrząśnieniach, wojnach, rewolucyach i całym układzie państw południowo-amerykańskich.

Północ i południe lądu politycznie zagospodarowanego przez Europejczyków, ale od Europy silnie odrzynającego się własnemi formami życia, wytwarzały do ostatnich czasów dwie jakby odrębne całości: każda żyła jak chciała, mogła lub musiała. Tego wzajemnego oddziaływania na siebie silnych, tego nacisku silniejszych na słabszych, tej polityki zagranicznej, w której z po za dyplomaty wygląda zawsze armata, a z której powstają prądy i wiry dziejów istotnie już powszechnych, uniwersalnych — niepodobna było dotychczas dostrzedz w życiu międzynarodowem samej nawet Ameryki.

Teraz się to zmienia. Odtąd ojczyzna Waszyngtona, będzie miała i politykę w wielkim stylu europejską i potrzebną do niej wewnętrzną organizacyę. O ile rdzennem i trwałem będzie to przeobrażenie się wielkiej rzeczypospolitej, sami Amerykanie jeszcze nie wiedzą; bo, zabłysnąwszy dopiero swą potęgą, potrzebują teraz stale jej ognisko rozpalić i stale je zasycać, do tego zaś ani rozum ich nie wydobył z siebie jeszcze dość silnego i jednolitego poglądu, ani też ich energia nie wykształtowała się jeszcze należycie z rwących naprzód, ale nieopatrznych, ślepych jednostronnych popędów. Urocza, silnie kusząca wielkomocarstwowość musi jeszcze w tym siedemdziesięciomilionowym ogromie politycznego społeczeństwa amerykańskiego stoczyć walkę z dwoma swymi wrogami: federalizmem i republikanizmem, które dotychczas dziejom jego przewodniczyły; każdy to bowiem jasno widzi, że funkcye wielkiego mocarstwa ujemnie tylko wpływać mogą na sprawność, dzielność i istotność tych dwu sił rozpędowych dotychczasowego życia: zasady więc bronić się będą musiały, aby nie przepaść, a znowu idea-żądza wielkiego mocarstwa, o ile ich przystosować do siebie nie zdoła, będzie usiłowała je wyprzeć. Wojna!

Sposobność i powód do wybicia się na czoło jako wielkie mocarstwo Stany Zjednoczone Ameryki północnej znalazły w słabości Hiszpanii. Stany Zjednoczone czyniły to zrazu w imię ludzkości, potem już w imię obrażonej godności narodowej. Zdarzyło się, że okręt amerykański, „Maine," w zewnętrznym porcie Hawany wskutek zapalenia się prochów w początkach roku ubiegłego zatonął; śledztwo amerykańskie nasunęło domniemanie mściwości hiszpańskiej, odwetu za pomoc dawaną Kubie. Kongres wziął sprawę w swe ręce. Mc Kinley, nowy prezydent z r. 1897, energicznie poparł zamysły śmielszych *politicians*, w rzędzie których i sam stanął. W pierwszej połowie kwietnia zapadła uchwała obu Izb kongresu, stawiająca Hiszpanii jako *ultimatum* ustąpienie zupełne z Kuby. W Madrycie rozkazu tego nie usłuchano. Zaczęła się wojna, której urzędo-

wą datę kongres sam oznaczył na 21 kwietnia.

Działanie na lądzie szło Amerykanom nie sporo; nie mieli gotowego wojska, musieli zbierać wysłużonych i służących jeszcze w rezerwie, ściągać ochotników, obmyślać i organizować dla nich dowództwo i wszelkie służby pomocnicze — musieli armię niejako na poczekaniu improwizować — tak iż dopiero w czerwcu siły swe lądowe wprawili w ruch; ale flota ich w kwietniu już znalazła się u wybrzeży filipińskich, a w d. 1 maja dokonała największego czynu w całej wojnie: zniszczenia floty hiszpańskiej pod Cavite, u wejścia do stolicy całego archipelagu, Manili na Luzonie. Pogrom był okropny, wszakże bez właściwego boju, samem zaskoczeniem i strzałami z daleka sprawiony. Przygnębił on odrazu Hiszpanów, zniedołężnił ich flotę i tak już niezbyt dzielną i silną, i odjął jej tę użyteczność, jaką jeszcze mieć mogła. Gdy Amerykanie w czerwcu wylądowali pod St. Jago de Cuba na wschodniem pomorzu wyspy, flotę hiszpańską, znowu jak pod Manilą, zastali w zatoce i znowu ją spalili lub zabrali (3 lipca). Zdobycie St. Jago szturmem w środku lipca, przy zniszczeniu zupełnem, uruchomionych sił morskich Hiszpanii, położyło kres wojnie. D. 12 sierpnia za pośrednictwem posła francuskiego, Cambona, stanęła ugoda przedstanowcza: wyzwolenie Kuby, zrzeczenie się wszelkich posiadłości w Ameryce, w Antyllach, postanowienie późniejsze względem Filipin. Ostateczny pokój w Paryżu d. 10 grudnia oddał Filipiny Ameryce za 20 mil. dol. Stany Zjednoczone nie przyjęły długów Kuby, ani Portorica.

Tydzień polityczny. Przez święta nietylko szara masa ludzkości, ale przyświecająca jej polityka próżnowała. Po świętach zebrały się d. 28 z. m. jedynie sejmy prowincyonalne Przedlitawii, nie wszystkie przecież; galicyjski, jak objaśnił jego marszałek, Stanisław Badeni, tylko dla zaznaczenia nietykalności prawa, nakazującego zwoływać sejmy corocznie. Uchwalono przytem tymczasowy budżet, powybierano komisye, złożono kilkadziesiąt projektów przeważnie z samorządu wykwitłych, do których i rząd wiedeński trochę swoich własnych dorzucił. Wszystkie sejmy zagajono orędziem cesarskiem jednobrzmiącem: główna jego waga pada na podziękowanie za życzenia, wyrażone z powodu jubileuszu, który polityka taką żałobą ces. Franciszkowi zamroczyła. D. 31 z. m. ukazały się w obu połowach monarchii postanowienia cesarsko-królewskie o kwotach i ugodzie ekonomicznej, przedłużonych na rok w tej postaci, jaką miały dotychczas Na Węgrzech stało się to zupełnie po za obrębem prawa; w Przedlitawii na mocy owego § 14, którego niedomierność w danym wypadku wytknięto tu już dawniej. Nieprzeparta wszakże konieczność narzuciła takie wyjście z odmętu jako jedyne, i tylko pieniąca się namiętność, przeżuwająca własną mądrość pedanterya — mogą podnosić krzyk, że się dzieją bezprawia. Bezprawia dopuściły się tylko sejmy obu połów, zamykając prawo w więzieniu, nie rządy, które, pozbawione w ten sposób prawa, musiały zapewnić państwom swoim środki do życia.

Francya znowu powiększa swą siłę zbrojną, biorąc asumpt z nowego projektu niemieckiego, pomnażającego o 27,000 etat liczebny armii.—Sąd kasacyjny otrzymał już nareszcie *dossier*, ale zobowiązał się nie czynić z jego skarbów złego użytku i przyjął stałą asystę naczelnika sztabu generalnego, gen. Chanoine'a: dość oryginalna organizacya sądowa. Najwyższa magistratura przesłuchała już wszystkich największych strategów i polityków Francyi; sam Dreyfus ma już prawdopodobnie postawione sobie na miejscu pytania. Proces Picquarta poczeka na proces rewizyjny Dreyfusa. Klika sztabu generalnego i narodowców, niosących Francyi w swym antysemityzmie błogosławieństwa nowego bonapartyzmu — za wprowadzenie sprawy na drogę kasacyi bierze odwet z Zoli. Policya kryminalna francuska, która lata całe pozwalała chorować w Anglii Hertzowi, uciekać po Europie Artonowi — sięga po Zolę, jako przestępcę ukrywającego się przed wyrokiem, i szuka go po Anglii. W zestawieniu z pobłażliwością dla rzeczywistych zbrodniarzy, ta surowość dla człowieka czystej idei, a wszechświatowego imienia, jest hańbą cywilizacyi i inaczej nazwać jej niepodobna, jeśli się chce być człowiekiem, a nie antysemitą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŹRÓDŁA NIEPOWODZEŃ.

Obrachunek roczny wykazuje wielkie niedobory w budżecie właścicieli ziemskich z różnych okolic kraju. W szeregu przyczyn niepowodzenia wybitne miejsce zajmuje brak robotników, który najbardziej daje się odczuwać w ogniskach fabrycznych i na pograniczu. Skargi na to słyszymy nieustannie w ciągu roku całego; obecnie zaś ponawiają się one znowu, już jako poważna przyczyna ujemnych rezultatów ekonomicznych. Między innemi skargi te znalazły upust w *Gazecie kaliskiej*, która podkreśla jedno zjawisko: wędrówkę do Prus na robotę i nazywa ruch ten chorobą społeczną. Dotychczas wędrowała na Zachód ludność z miejscowości pogranicznych; obecnie zaś na trzy miesiące przed rozpoczęciem wędrówki owej opuszczają służbę ordynaryusze, dziewczęta i chłopcy nawet ze stron odleglejszych, z pod Warty, Sieradza i Turku. „Dawniej na prowincyę przysyłano agentów, dziś to rzecz zbyteczna: najlepszymi agentami są poubierani w tandetę pruską, w kapelusze pluszowe, z zegarkiem tombakowym u kamizelki i rękawiczkami nasi poczciwi wieśniacy, którzy niedawno jeszcze w swej kapocie na chleb powszedni zarabiali. Dziewczęta również zmieniły ubranie: kapelusze, parasolki, rękawiczki są dziś nieodzownym u nich artykułem toalety wiejskiej. Słowem, nasi włościanie, którzy ciężko pracują na grosz za granicą, stokroć ciężej, niż w kraju, bawią się w państwo, i ażeby nie być gorzej ubranym od Bartka lub Wojtka, idą za granicę na całe lato, zostawiają na łasce opatrzności dzieci i wracają z kilkunastu rublami w kieszeni i całymi kuframi garderoby pruskiej."

Pomijamy żal interesowanego i jego irytacyę na te „pretensye" ludu, pomijamy przypisywane mylnie i zbyt powierzchownie bodźce, popychające lud nasz do poszukiwania zarobków po za granicami kraju, przyznać atoli musimy, że zjawisko to istotnie, przy obecnym stanie rzeczy zagraża naszemu rolnictwu w znacznej części kraju. Następnie i lud nasz, wędrując za granicę, niewiele zyskuje i wcale nie poprawia swego bytu.

Oto skrawek obrazu tych warunków, podany przez ziemianina: „Włościanin — gospodarz lub bezrolny, zawsze miał, jak to mówią, przytułek u dworu. I robota znalazła się na cały rok, i na przednówku dostał zboża na odrobek, i cielaka dwór chętnie przyjął na pastwisko, nie mówiąc już o lekarstwach w czasie choroby." Wszystko to z czasom ustanie, bo jak twierdzi ziemianin, właściciele ziemscy, nie mogąc dać rady skutkiem braku robotnika, sprzedają swoje majątki. Co do „wielkiego" zarobku włościan naszych za granicą, jest on fikcyjny. Daje niewiele więcej, niż u nas na wsi może zarobić przeciętny chłop lub dziewczyna. „Obieżysasi" wychodzą w końcu marca, wracają w listopadzie, pracują za granicą z natężeniem znacznie większem, niż u nas, w zysku zaś mają trochę garderoby wartości 10—15 rb. i około 30 rb. gotówką. Wielu wszakże powraca zupełnie bez grosza. Resztę roku, zmęczeni uciążliwą pracą i tułactwem, odpoczywają i jeżeli cośkolwiek przynieśli, przejadają ten cały zarobek.

Zdawałoby się, że włościanie nasi z wędrówki za granicę wyniosą jedną korzyść: nauczą się tam pracować. O ile wszakże z faktów sądzić można, nie zdobyli oni tam nawet i tego. Oczywiście składa się na to wiele przyczyn. Włościanie nasi nie są z natury i warunków kulturalnych przysposobieni i przyzwyczajeni do pracy intenzywnej, natężonej, ciągłej, między innemi i dlatego, że się żywią przeważnie ziemniakami, które nie dają im sił, ani energii do pracy i niewątpliwie, obok czynników antropologicznych i socyologicznych oddziaływają ujemnie na temperament ludu. Pracuje on powoli, apatycznie, marnuje dużo czasu i dopóki ma ziemniaki, niechętnie idzie na zarobki. Do niechęci tej niewątpliwie przyczynia się i taniość płacy. Ale tu jeden warunek uzależnia drugi. Chłop leniwie pracuje, zarobkodawca nie może mu, płacić lepiej za tę pracę nieprodukcyjną, i tak robotnik wiejski krąży w błędnem kole, dopóki nie przekroczy granic Królestwa i nie pójdzie do Prus na zarobki. Tam, dzięki wyższym warunkom kulturalnym płacą mu lepiej i jednocześniej przyzwyczajają go do pracy intenzywniejszej. Z polskiej strony ta pogoń za lepszym zarobkiem, z drugiej lenistwo wrodzone chłopa naszego przyczyniły się w znacznej mierze także do obecnej klęski kartoflanej, gdyż wiele folwarków, z braku robotnika, nie mogło przed mrozami październikowymi wykopać kartofli.

Że jednak są środki zwiększające intenzywność pracy chłopa naszego, wymownie świadczy pomysłowość ziemianina p. Jana Gościckiego z Brolin, który rozstał się z odwiecznym zwyczajem zapłaty dziennej, a idąc za przykładem przemysłu kapitalistycznego wprowadził płacę akordową, mianowicie, zamiast 22½ kop. dziennie, 12 kop. od wykopanego korca. „Godzinę od 7 do 8 rano miałem niemiłą — pisze ten obywatel w *Słowie*. — Tylko osobistą obecnością na polu, stanowczą wolą, a głównie zaufaniem skłoniłem ludzi do rozpoczęcia na tych warunkach roboty, do której z widoczną niechęcią się zabrali. O godz. 8 jednak zaczęły się twarze ich rozchmurzać, a o 9, jadąc na śniadanie, zostawiłem swą dobrą, ale nawskroś konserwatywną czeladkę tak rozpromienioną, że dziewczyny chustki, a chłopaki sukmanki zrzucili, na wyścigi się wyzwali. Rezultat był taki, że gdy w sobotę, za 22½ kop. zarobku

wykopali po 2 korce kartofli zdrowych łącznie ze zmarzłymi, dziś wieczorem oddali mi ich po 4 korce samych twardych, a zarobiwszy po 48 kop., za oddzielane kartofle miękie sami zrzekli się zapłaty. Dziś na obiad stracili 45 minut czasu; na jutro już postanowili, że matki im obiad przyniosą na pole i po ¼ korca więcej ukopać pomogą. Dodaję, że wybieranie z ziemi i oddzielanie uszkodzonych mrozem kartofli było dziś równie dokładne, jak onegdaj, a tę okoliczność skombinowawszy z tem, że tąż siłą i tymże kosztem, odnośnie do pojedynczego korca, wydobędę w ciągu tygodnia tyle kartofli, ile przy płacy dziennej wydobywałbym przez dwa tygodnie."

Zwyczaj ten, nie nowy zdaje się, tu i owdzie jest już stosowany w gospodarce rolnej. Te jednak fakty, które p. Gościcki podał, są bardzo znamienne i pouczające. Jest sposób zachęty do pracy intenzywnej za pomocą systemu, nie zawsze i nie wszędzie zasługującego na pochwałę. W stosunku do chłopa naszego, jest on środkiem poniekąd pedagogicznym na niwie ekonomicznej. Jest on zarazem ogólną wskazówką, że z chłopa można wydobyć większe natężenie sił za pomocą wyższej płacy.

Bardzo byłoby pożądane wytworzenie tej intenzywności ludu naszego w stosunku do jego własnej gospodarki. Ta bowiem nieprodukcyjność, apatya, marnowanie czasu, jest większą klęską ludności włościańskiej, niż nieurodzaj kartofli; utrzymuje ją bowiem na nizkim stopniu kultury, nie pozwala przyjść do wyższych doskonalszych form pracy ekonomicznej, i przy ciemnocie utrzymuje, wielkie rzesze na nizinach nędzy. Naturalnie, że w takich warunkach najdrobniejsza klęska w rolnictwie, staje się wielką katastrofą.

O ile wiemy, system, wprowadzony przez p. Gościckiego, jest dotychczas praktykowany w niewielu okolicach kraju. A jednak u nas, jak utrzymuje pewien ziemianin, gdyby lud zgodził się na robotę akordową, zarabiałby wcale nieźle: chłop dorosły około rubla dziennie, dziewczyna zaś najmniej 60 kop. Odliczając na wikt dzienny 15 kop., otrzymamy w ciągu roku następujący rachunek: dorosły mężczyzna zarobić może około 200 rb., dziewczyna zaś 100. Ale naszych włościan trudno namówić do pracy akordowej. Wolą oni mniej zarabiać, lecz otrzymywać płacę dzienną.

Widzimy tedy źródła niepowodzeń zarówno posiadaczów większych, jak i włościan w czynnikach kulturalnych, ekonomicznych, a poniekąd socyologicznych i rasowych. Z rolnictwem walczy przemysł wielki, odciąga mu siły robocze; walczy także w ten sam sposób wyższa kultura zagraniczna. Zjawiska tego niepodobna zażegnać środkami doryweczymi. Rolnictwo musi także wejść na grunt przemysłu wielkiego, w przeciwnym bowiem razie pierwej czy później zdławi je kapitał fabryczny.

Podstawą jednak [illegible] i przekształconej produkcyi rolniczej, jak i wszelkiej innej, jest siła robocza, której warunki obecnie na wsi są bardzo nienormalne i niekorzystne dla obu stron. Dopóki więc rolnictwo nie stanie na szerokich i mocnych podstawach, zabezpieczonych od nacisku kapitalizmu fabrycznego, póty nie można myśleć o przekształceniu całkowitem warunków pracy najemnej, a zatem o stanowczem usunięciu obecnych źródeł niepowodzeń. Niech panowie ziemianie nie szydzą z kapeluszów, kurtek, rękawiczek, „obieżysasów," bo nie to jest bodźcem do wędrówki ludu na Zachód lub do ognisk wielkoprzemysłowych, lecz z jednej strony nasza niższość kulturalna i ubóstwo zarobkodawców na roli, z drugiej zaś nieproporcyonalnej w stosunku do naszej kultury wiejskiej rozrost przemysłu wielkiego. Zamiast powierzchownego traktowania żywiołowych zjawisk życia, należy wnikać w nie głębiej i dążyć do rozumnej, świadomej walki z niepowodzeniem.

STOSUNKI SPOŁECZNE W KSIĘZTWIE POZNAŃSKIEM
W ŚWIETLE STATYSTYKI.

•

I.

W początku roku ubiegłego podaliśmy w *Prawdzie* nieco cyfr ze statystyki zawodowej Niemiec i staraliśmy się wyprowadzić najogólniejsze z nich wnioski. Pragniemy więc na zasadzie tej statystyki wskazać niektóre nader ciekawe fakty w życiu ekonomicznem Księztwa Poznańskiego. Nie omylimy się, przyjmując za ogólny sąd, według którego Księztwo, ten kraj o ludności przeważnie rolniczej, odznacza się nadzwyczajną stałością stosunków społecznych w porównaniu z Królestwem i Galicyą. Więcej nawet, ogół gotów je uważać za będące w zupełnym zastoju społecznym. Cyfry wykażą, że jest to błąd, którego powstanie jest bardzo zrozumiałe. Wielkopolanie toczą z żywiołem germańskim ciężką walkę, która do tego stopnia musi pochłaniać uwagę ogółu polskiego, że doniosłe fakty w jego życiu społeczno-ekonomicznem łatwo mogą ujść uwadze. Pożądana więc być musi sposobność przyjrzenia się tym faktom z tak ogólnego punktu widzenia, na jakim stanąć pozwala statystyka tego znaczenia co ta, o której wspomnieliśmy, tembardziej, że naszem zdaniem jej cyfry mogą rzucić nowe światło nawet na przebieg owej walki narodowościowej.

* * *

Wiadomo, że ludność rasy słowiańskiej rozmnaża się szybciej od germańskiej. Księztwo Poznańskie nie stanowi wyjątku. Liczono tam głów:

w roku 1816 — 820,000
„ 1855 — 1,393,000
„ 1895 — 1,829,000

A więc od 1816 do 1895 roku przyrost wynosił rocznie 1,56%, gdy w Niemczech całych (wliczając Księztwo) 1,40%. Jednakże cyfry te nie dają nawet przybliżonego pojęcia o przewadze pod tym względem ludności słowiańskiej. Od lat bowiem wielu już odbywa się wychodźtwo po za granice kraju w ogromnej mierze. Jeżeli istnieje „Drang nach Osten" śród Niemców, to niewątpliwie od lat kilkudziesięciu istnieje daleko mocniejsze parcie ludności słowiańskiej ku zachodowi. Aby dać pojęcie o tym procesie, dość przytoczyć cyfry, podane przez Seringa *) dla lat 1885—90. Wykazuje on, że w tym czasie drogą naturalną, wskutek przewagi liczby urodzeń nad liczbą umierających, ludność Księztwa powinna była urosnąć o 155,229 głów, wzrosła zaś faktycznie tylko o 36,024 głów. Wynika stąd, że w przeciągu tych pięciu lat *opuściło Księztwo nie mniej, niż 119,205 głów*, czyli w tym okresie kraj *pozbył się 76,80% naturalnego przyrostu swej ludności wskutek emigracyi*. Nie jest to bynajmniej fakt wyjątkowy, dotyczący tego właśnie okresu: wychodźtwo tworzy proces stały. Dokąd płynie ono z Wielkopolski? Część emigruje za morze, lecz jest to zaledwie ułamek wielkiej liczby; przeważnie ta ludność osiedla się w zachodnich prowincyach państwa niemieckiego, w wielkich miastach, jak Berlin, Hamburg, Brema i w dzielnicach przemysłowych, w Saksonii, Westfalii, prowincyi Nadreńskiej. *) Byłoby ciekawem poznać dokładnie ten proces wychodźtwa; tę musimy tę kwestyę pominąć, gdyż celem naszym jest zbadanie warunków życiowych i zmian, jakie zaszły w składzie ludności pozostającej w Księztwie pod względem ekonomiczno-społecznym.

Przedewszystkiem zadajmy sobie pytanie: z czego utrzymuje się ta ludność? Statystyka podaje podział taki: *A.* rolnictwo (łącznie z leśnictwem, rybołówstwem, hodowlą zwierząt, bartnictwem itd.) *B.* przemysł (łącznie z górnictwem, budownictwem itd. *C.* handel (wliczając procedery przewozowe, a więc urzędników i robotników kolejowych) *D.* „praca najemna zmienna" (tj. wyrobnicy bez stałego zajęcia i fachu) *E.* urzędy i wolne zawody, F. niemający zawodu. Według tego podziału otrzymamy następujący skład ludności, licząc razem zarobkujących, ich rodzinę i służbę domową:

A. rolnictwo	1,053,351	1,077,137
B. przemysł	366,966	285,696
C. handel	130 877	115.603
D. praca najemna zmienna	33,932	51,070
E. służba publiczna i wolne zawody	91,627	71,419
F. bez zawodu	97,293	63,692
	1,774,046 **)	1,665,617

Cyfry te odzwierciadlają znany ogólnie fakt: Księztwo Poznańskie jest krajem przeważnie rolniczym. Jednakże — objaw to olbrzymiej wagi — *ludność rolnicza zmniejsza się bezwzględnie i stosunkowo*. Pomimo wzrostu ogólnej liczby, czysto rolnicza spadła o 24,000 głów i kategorya *D*, żyjących z najmu niestałego, którą przeważnie musimy zaliczyć do ludności miejskiej, uszczupliła się o 17,000, a więc możemy powiedzieć, że ubyło rolniczej 41,000.

Wychodźcy z Poznańskiego rekrutują się — co stwierdzono przeważnie z wieśniaków; tem tłomaczy się fakt doniosły, że Poznańskie *nie może wyżywić swojej ludności*. Wzrosło zaludnienie kraju, ale wzrosło w miastach i miejscowościach fabrycznych. Wieś pustoszeje. Nietylko oddaje ona swój przyrost, lecz liczba absolutna zmiejszyła się.

Przyczynę odgadnąć łatwo — „kryzys rolniczy!" Nazwa ta nieścisła, gdyż chodzi tu nie o „kryzys," nie o przesilenie, lecz o proces stały. Rolnictwo europejskie wskutek zmian w jego produkcyi wszechświatowej upada i upadać będzie dalej. Ten sam wieśniak wielkopolski, którego warunki rugują z ziemi własnej, o ile wędruje do krajów zamorskich, o ile przyczynia się do powstawania nowego rolnictwa w Stanach Zjednoczonych, w Argentynie, w Brazylii, w Małej Azyi, podkopuje byt tegoż rolnictwa w Poznańskiem. Jednakże ten przełom nie tłomaczy nam jeszcze wszystkiego. Słyszymy wszakże stałe skargi właścicieli ziemskich w Księztwie na brak sił roboczych — skargi uzasadnione. Ludność wiejska ciśnie się do miast, do okręgów przemysłowych, nie dlaczego innego, tylko dla większych tam zarobków,

*) Sering: *Die innere Kolonisation im Osten Deutschlands.* Schriften des Vereins für Sozialpolitik. tom 56.

*) Nadmieniamy, że tu nie chodzi o „obieżysasów." Wszystkie cyfry powyższe są czerpane ze spisów czynionych w grudniu, kiedy obieżysasi już powrócili na zimowe leże do chat wielkopolskich.

**) Liczba mniejsza od poprzednio wymienionej, gdyż odnosi się do spisu czerwcowego, tamta do grudniowego, roku 1895.

miejsce zaś jej zajmują przybysze z Królestwa Polskiego, nawykli do jeszcze niższych płac, do niższej stopy życiowej. Taki proces, jednakże jest możliwy tam tylko, gdzie można uprawiać rolę robotnikiem nie stale przebywającym na miejscu — na wielkich obszarach. Przewaga wielkiej własności rolnej w Księztwie Poznańskiem, oto przyczyna, dla której kryzys rolniczy musiał mieć taki skutek, że przyczynił się do wyrugowania ludności wiejskiej.

Ludności wszakże ogółem przybyło w Księztwie przeszło 109.000. Skoro ubyło wiejskiej 41.000, to musiała wzrosnąć miejska, jeżeli tą nazwą określimy żyjącą z pracy przemysłowej, handlowej itd. — a jest jej 150,000, zatem więcej, aniżeli wynosi przyrost naturalny tej ludności. Stąd wniosek: część tej ludności, której pozbyła się wieś, pochłonęła emigracya, lecz część znaczna zabrało miasto. Jest to bardzo naturalne: prąd nie koniecznie idzie od wschodu ku zachodowi, właściwy kierunek jest — ze wsi do miasta, i tylko ta część ludności wiejskiej, która w miastach kraju ojczystego nie znajduje zarobku, wędruje na zachód i za morze.

I oto mamy wytłomaczenie zjawiska „wypierania żywiołu niemieckiego," o którem tak wrzaskliwie donosi prasa „hakatystyczna!" Mieszczaństwo wielkopolskie w znacznej części jest pochodzenia niemieckiego i żywioł ten wzrastał naturalnie w przeciągu całego bieżącego stulecia. W ostatnich dopiero kilkunastu latach stosunki zaczynają się zmieniać, w miastach — jak twierdzą nasi najserdeczniejsi — „szerzy się polskość." Kto zna Poznańskie, przyzna im słuszność. Tylko że nie dojrzeli oni przyczyny: upatrują ją w „propagandzie wielkopolskiej," podczas gdy rzeczywistą przyczyną jest *napływ ludności wiejskiej do miast.* Ten napływ, któremu miasta zawdzięczają swój wzrost, składa się z żywiołu polskiego. Kryzys zatem rolniczy, który wyludnia wieś polską, sprawia, że miasta polskie zaludniają się Polakami.

Ten żywioł świeży, rekrutuje się z najdzielniejszych jednostek, gdyż mniej ruchliwe, nieudolne pozostają na miejscu, nie mając sił i odwagi do zdobywania sobie pola w walce o byt wśród nowych, nieznanych dla siebie warunków. Dostawszy się zaś do miasta, wieśniak, który był dotąd może bardzo obojętnym na sprawy publiczne, tu zostaje wciągniętym w wir życia publicznego i daleko żywiej, bo świadomie poczuwa się do solidarności narodowej.

Jeżeli tak jest, jeżeli przyczyną wzmocnienia żywiołu polskiego jest zjawisko ekonomiczne, kryzys rolniczy, działający z żywiołową siłą, to oczywiście temu procesowi przeciwdziałać nie można środkami i środeczkami germanizacyjnymi, na jakie silą się rząd pruski i hałastra hakatystyczna.

(D. c. n.)

Dr. J. B. Marchlewski.

PARĘ SŁÓW Z POWODU KONKURSÓW.

Ruch każdy odbywać się musi w kierunku najmniejszego oporu, każdy więc osobnik dąży do wykonania danej czynności z możliwie najmniejszym wydatkiem energii. Prawo to nietylko obowiązuje martwą materyę, ale jednostki żywe, całe społeczeństwa i odgrywa pierwszorzędną rolę w gospodarce społecznej.

Zmuszeni czynić zadość owemu warunkowi, narzuconemu nam z góry, staramy się produkować tak materyalne, jak duchowe dobra możliwie z najmniejszym wysiłkiem i dlatego też społeczeństwo kształci specyalistów w rozmaitych kierunkach, bo to są właśnie ludzie, którzy dzięki posiadanym kwalifikacyom mogą produkować w pewnych dziedzinach z najmniejszym, społecznie rzeczy biorąc — wysiłkiem, czyli najtaniej.

Inny system gospodarki, polegający na używaniu w produkcyi wykonawców-dyletantów, t. j. źle, albo wcale nieprzygotowanych, każdy ekonomista, a nawet każdy praktyczny człowiek potępiłby bez wahania.

Dzisiejsze stosunki ułożyły się ogólnie tak, że w najważniejszych gałęziach wytwórczości podaż góruje nad popytem, t. j. towar gotowy oczekuje nabywcy. Zdarza się jednak inaczej, że popyt bierze górę nad podażą, a pożądany towar nie nadpływa na rynki bądź dla braku materyału surowego, bądź dla braku uzdolnionych wykonawców.

Jeżeli chodzi tylko o materyał, to zagrożony bezczynnością kapitał zapuszcza sondy w dziewicze warstwy — odkrywa nowe kopalnie i wydobywa się z kłopotu. Wpada jednak w rozpacz — dostaje przemysłowego delirium, kiedy nie może się obejść bez ludzi utalentowanych, lub „z ideją", a wyjałowione siły twórcze odmówiły mu już usług.

Jakto, więc „interes" ma stanąć bezczynnie? więc nabywcy mają odchodzić od sklepiku z próżnemi rękami? Przenigdy! Poruszymy „dziewicze" warstwy, wyprowadzimy nowe, młode siły, które przecież muszą istnieć — powiada kapitalista.

Ogłasza więc konkurs. Konkurs, to deska zbawienia dla tonącego w wirze konkurencyi i zagrożonego fatalną bezczynnością wytwórcy. Ten środek ma mu dostarczyć talentu, wynalazców, — których potem wyssie.

Ale smutne doświadczenie nauczyło nas, że jednostki, kierujące się swoim własnym interesem nie lubią się liczyć z żadnymi względami, a najmniej chyba z dobrem ogółu; praktykują one chętnie gospodarkę rabunkową, niszczą, tępią z zimną krwią bawoły amerykańskie i talenty zarówno: w pogoni za zyskiem gotowe są pogwałcić naturalne prawa rozwoju, a nawet wydziedziczyć pokolenia przyszłe.

To też konkursy w ręku pewnych wytwórców stały się tem, czem jest dynamit dla niesumiennego, egoistycznego rybaka, t. j. środkiem zdobywania grubych ryb, a zarazem zabijania drobnego zarybku, żab — słowem wszystkich mieszkańców eksploatowanej rzeki czy sadzawki.

Przyjrzyjmy się tej gospodarce i jej skutkom.

Oto np. pan Kunitzer — królik bawełniany — czując potrzebę zdobycia świeżych i oryginalnych wzorów na swoje perkaliki, poświęca parę tysięcy rubli i zapuszcza przy pomocy konkursu, sondę w niewyssaną dotąd „swojską" warstwę. Komitet budowy kościoła w Łodzi, przedsiębiorcy, stawiający hotel „Bristol", jakieś towarzystwo ubezpieczeń, wreszcie zarząd teatrów, rozpisują takie konkursy na najlepsze projekty architektoniczne; sięgając dalej, po za granice kraju, dowiadujemy się o belgijskim konkursie na najlepszy sposób wyrobu zapałek, nieszkodliwych dla zdrowia pracujących w tej dziedzinie przemysłu itd. itd.

Cóż w tem złego? — zapytacie.

Nic złego, w istocie, jeśli chodzi o projekt kościoła, hotelu, o zapałki, o wzory na perkaliki wreszcie; każdy wie z góry, że w konkursie architektonicznym nie weźmie udziału chemik, że z drugiej strony budowniczy nie zechce poświęcać czasu na szukanie nowego sposobu robienia zapałek, że jego znajomy listonosz nie pośle Kunitzerowi wzorków. Dla czego? Dla tej prostej przyczyny, że budownictwo i chemia stoją już na tak wysokim poziomie, że dyletantyzm nie ma na nim żadnych szans powodzenia, więc pozostaje dobrowolnie w ukryciu. To samo, wreszcie, da się powiedzieć o sztuce stosowanej do przemysłu w której trzeba pewnego przygotowania.

Konkursy dla specyalistów nie są więc grzechem wobec społeczeństwa, chociaż, ze względu na prawo najmniejszego społecznego wysiłku, znalazłoby się i przy tej okazyi coś niebądź do zarzucenia.

Dlaczego np. zamiast wszystkich, którzy chcą, nie powołano w szranki kilku, wreszcie kilkunastu najlepszych architektów, chemików? Bo chciano otworzyć pole nowym, młodym siłom — powiecie. Bardzo to by było piękne, gdyby rozpisujący konkursy kierowali się podobnymi względami; skoro jednak zastanowimy się nad wynikiem ostatecznym, to dojdziemy do wniosku, że dla zdobycia potrzebnego przedsiębiorcom projektu, oderwano od codziennych zajęć kilkudziesięciu specyalistów, i *zmarnowano* w ten sposób, w imię interesu prywatnego, wielką ilość energii społeczno-produkcyjnej, którąby się wcieliła w co innego.

Socyolog mógłby tu bezwątpienia nadmienić, że kiedy chodzi np. o zapałkę, wogóle o jakiś wynalazek, to wypływająca z wprowadzenia go oszczędność powetuje kiedyś straty, poniesione przez ogół w konkursie. Ów socyolog nie odważyłby się użyć tego samego argumentu, mówiąc o projekcie na budowę domu towarzystwa ubezpieczeń, lub hotelu na Krakowskiem przedmieściu w Warszawie, bo rzeczywiście zmarnowana w tych dwóch ostatnich wypadkach energia nie da się w przyszłości odzyskać.

Co do nas, uznajemy tylko konkursy artystyczne, ogłaszane przez akademie sztuk pięknych, a mające na celu rozwój budownictwa, rzeźby lub malarstwa; takie jedynie mają racyę bytu, prywatne zaś są i muszą być wyzyskiem ogółu na korzyść jednostek.

Jeszcze bardziej rażące marnotrawstwo odbywa się z okazyi konkursów literackich, np. powieściowych.

Estetyka bowiem nie potrafiła sobie dotychczas zdobyć ścisłych, naukowych, niewzruszonych fundamentów: pojęcie piękna różni się nietylko w przestrzeni i czasie, ale jest odmiennem u każdej jednostki, w każdej warstwie, na każdym poziomie kulturalnym i intellektualnym.

Stąd też specyalista krytyk często myli się i waha, nieszczęśliwy księgarz musi się uciekać do swego uniwersalnego „nosa", twórca - artysta, toczony robakiem zarozumialstwa, staje się pozbawiony zupełnie samokrytycyzmu, a Bogu ducha winien spożywca lub czytelnik, niemający zdania własnego, bredzi, lub chwyta sąd cudzy, pierwszy z brzega.

Nie dość na tem: budowniczy, chemik, lekarz, inżenier, musi poświęcić dużo czasu i trudu na przygotowawcze studya, zanim się uczuje powołanym do pracy w swej specyalności. A czy kto kiedykolwiek słyszał, o tem, żeby powieściopisarz oddawał się przedwstępnym studyom?! Boże uchowaj! jest on albo muszlą, wytwarzającą żywiołowo drogocenną perłę, albo też przypomina niedouczka lekarza, nabierającego wprawy kosztem swych naiwnych lub nieszczęśliwych pacyentów, którzy przypłacają te bolesne eksperymenty albo zgrubieniem estetycznej skóry, albo nerwami, albo bezmyślnością, a już zawsze kieszenią. *Tout comprendre c'est tout pardonner;* musimy też patrzeć pobłażliwie na tę rzeszę nieszczęśliwych bo przeceniających własne siły i cierpliwość publiczności autorów, nadsyłających swe poronione utwory na konkursy powieściowe i dramatyczne.

Trudno, ruch wszędzie, a więc i tutaj, odbywa się w kierunku najmniejszego oporu.

Winnymi marnotrawstwa pracy ludzkiej i czasu, sprawcami zawsze bolesnych zawodów, obsiewcami płonnych gruntów są inni.

Nie mamy tutaj zamiaru potępiać ludzi, pragnących z bezinteresownych pobudek wzbogacić ojczystą literaturę, podać dłoń pomocną młodym, ściganym zawiścią i stron-

niezośnią talentom, wskazujemy tylko producentów z zawodu—wydawców.

Czy takim panom, ogłaszającym konkursy, leży na sercu polska literatura i sztuka?

Nie bądźmy naiwni! Oni tylko poszukują dobrej lokacyi dla bezczynnych kapitałów, potrzebują świeżego a apetycznego towaru dla swoich odbiorców, wycisnęli już dojrzałe, lub sztucznie pędzone siły, jak cytryny, a wchłonąwszy do bezdennej kieszeni odżywcze soki, pogardliwie cisnęli skórkę na śmietnik odpadków społecznych.

Ale cóż?! Nowe talenty nie zjawiają się na miejsce wyjałowionych rabunkową gospodarką. Jest źle! Publiczność znudzona, a chciwa, domaga się natarczywie nowego artykułu mody literackiej, niecierpliwi się, nie chce nawet słyszeć o tem, że dawne krynice wyschły, a świeże nie trysnęły. Ha,—kiedy tak, wydawca postanawia sięgnąć do „dziewiczych warstw", idzie utartą drogą i ogłasza konkurs.

Na horyzoncie nie pojawia się żadna gwiazda? — powiada sobie — to bagatela. Zrobimy ją na poczekaniu.

Publiczność?! On ją zna doskonale. Ta bezmyślna a kapryśna pani weźmie, co on jej wetknie w rękę, byleby to coś miało markę i pieczątkę komitetu konkursowego — to przecie doskonała marka! A potem zareklamujemy trochę w swoich pismach, inne powtórzą i gwiazda gotowa.

Tak też i robi. Zaczyna od zjednania sędziów. Poczciwcy, dają się łatwo złapać na „rozwój literatury ojczystej" i pozwalają się wyzyskać, dadzą zdanie, na jakie ich stać—darmo, zastąpią nos wydawcy, ten biedny, zakatarzony nos. Czy to nie interes?

Jakaś dorosła pensyonarka wygrywa los na loteryi, urządzonej na korzyść wydawcy N. Porywają ją, kładą korki do trzewików, dolewają oliwy gdzie należy, charakteryzują własną szminką, dodają powagi przy pomocy wpakowanego do kieszeni honoraryum, i wśród ordynarnych kadzideł, wrzasków płatnej krytyki i głośnego „oh!" naiwnej publiczności wystawiają za szybą księgarni.

Pan X. lub pani Y, której powieść pleśniała przez 3 lata w biurku wydawcy M, zanim ją nagrodził wydawca N, z początku sobie nie ufa. Powodzenie oszałamia ją, bo przewyższa nawet jej, dyktowane pensyonarską zarozumiałością, nadzieje. W końcu jednak wierzy: kupuje za otrzymane honoraryum biurko, stos papieru, pudełko stalówek i, niby otworzona nagle śluza, nawadnia spragnione odżywczej wilgoci łamy czasopism albo wyjmuje z kufereczka panieńskiego pierwsze próby swego uzdolnienia i obdziela niemi wydawców.

Biedaczka! Nie wie, że odgrywa tylko rolę w improwizowanej farsie, nad którą historya literatura przejdzie do porządku dziennego.

Za rok, czy za dwa wyrzucą ją brutalnie z wystawy sklepowej do lamusa księgarskiego, a na jej miejscu zjawi się, ku uciesze czytającego tłumu nowokreowana wielkość. „Trudno — szanowna pani — mówi wydawca, gdy nadchodzi fatalna godzina detronizacyi, wprowadziliśmy panią w świat z(a)robiliśmy, co się dało, ale publiczność, ta nieznośna publiczność znudziła się i chce czegoś nowego. A interes nie może stanąć dla takiej bagatelki, jak brak nowych talentów. Daruje pani więc, ale..."

W tej chwili wchodzi do księgarni młody, zdolny autor, z rękopisem. Wydawca rzuca okiem na podpis i zwraca spiesznie zeszyt.

— Mamy aż za dużo powieści gotowych do druku, mówi zimno; może kiedyindziej.

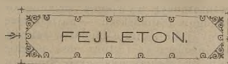
Pierwszy raz słyszę—myśli—jakiś Sirko, Żeromski, Brolis, Rejmont... Im się zdaje, że ja mogę ryzykować kilkaset rubli na nieznaną markę.

— Szkoda, że pan nie posłał na który konkurs! dodaje głośno.

Młody autor, po upokarzającej wędrówce, po poniewierce, znajduje wreszcie w jakiemś piśmie, żywiącem się tanio „próbkami", miejsce dla swego utworu; wdzięczny za przytułek, pisze tam całe lata, znosi nędzę i czeka... długo, długo. Czasem zdarzy się, że nie umrze za wcześnie, że przyjaciele nie złamią mu pióra przez zawiść, wtedy wypływa. Tylko, że zmarnował najpiękniejsze lata. Głupi, dlaczego nie posyłał na konkursy?!

Oh, posłał, tylko za pierwszym razem nie zakwalifikowano go do czytania wspólnego przez niedopatrzenie, drugi raz koperta z nazwiskiem była—zbyt przezroczysta. Mój Boże! wzdychał sobie w godzinach zwątpienia, jakby to było dobrze, żeby wydawcy czytywali czasami rękopisy, — no i żeby znali się choć cokolwieczek — na literaturze!

W. U.



LIBERUM VETO.

Ideje w sztuce.

Literaci zwykle wtedy tylko słyszą odpowiedź na swoje pytania, kiedy sobie odpowiadają sami. Głosy życia są dla nich bezrozumnymi szelestami wiatru, na które nie warto zwracać uwagi. Oddawna trwa i prawdopodobnie długo jeszcze trwać będzie spór o to: czy celem sztuki jest tylko piękno, czy też obok niego pewna idea? Innemi słowy: czy utwory artystyczne mają być tendencyjne, czy też nie? Nikt by nie policzył, ile się pokrwawiło grzebieniów i wydarło piór w kogucich walkach o to zagadnienie, które dotąd karmi zapalczywością i energią swoich nieprzejednanych zapaśników. A przecież zdawałoby się, że skoro sztuka nie jest dopiero planem i marzeniem, lecz od wieków już istnieje w najrozmaitszych i niezliczonych postaciach, to ona sama rozwiązała praktycznie ową zagadkę i uwolniła zupełnie teoretyków od wodzenia się za czuby. Na nieszczęście dowód ten jest zbyt prosty, ażeby mógł być przekonywającym. Dla umysłów literackich daleko większą siłę posiadają łamigłówki dyalektyczne, o ile można najkunsztowniej ułożone, chociażby je złośliwa rzeczywistość ciągle przewracała.

Nie w tym tylko wypadku, ale wogóle ludzie ułatwiliby sobie wielce porozumienie się w przekonaniach i stosunkach, gdyby zechcieli być szczerzy. Gdyby np. każdy Egipcyanin, patrząc na Apisa, powiedział sobie: to jest czarny wół z białą gwiazdką, nie musieliby oni czcić go jako boga. Podobnie w sprawach estetycznych. Wyznajmy szczerze: czy Iliada lub „Sonety krymskie," pozbawione wszelkiej tendencyi, są piękne? Niewątpliwie. Czy „Prometeusz" lub „Faust," poematy tendencyjne, są utworami pięknymi? Tak. A więc dzieła sztuki mogą zarówno być wcieleniami pewnej idei, jako też odbiciami przedmiotowości. I tak jest, a walka kogutów dlatego nie może się zakończyć, że każdy ma w dziejach twórczości ludzkiej poparcie dla swych twierdzeń.

Ktoś wyrzekł, iż ideje w płodach sztuki więdną, podczas gdy artyzm pozostaje świeżym. Zależy to od idei i od artyzmu. Tendencya komedyj Arystofanesa zjełczała jak stary smar, a wdzięk ich pozostał; ale tendencya „Prometeusza," „Don Kiszota," „Fausta," „Don Juana" nie przestarzała się. Jak są nikłe formy artystyczne, tak są nikłe myśli, którym one służą; jak są utwory, które przetrwają w swej wartości zaledwie jedno pokolenie, tak są prawdy, które również szybko zamierają. Idea nie skraca swego życia przez to, że odziewa się szatą sztuki; przeciwnie, ona dzięki jej bardzo je przedłuża. Ale musi posiadać w sobie żywotność, niezwiązaną ani z jakiemś ograniczonem miejscem, ani z jakąś krótką chwilą. Wtedy staje się nieśmiertelną, przechodzi przez różne czasy i kraje, wszędzie i zawsze rozumiana i czczona. Nieraz osadza się jak klejnot w koronie, który, chociaż złoto jego oprawy zmętnieje, on w niem błyszczy ciągle.

Jakie gwiazdy, jakie źródła, jakie wzory my przygotowywamy dla naszych potomków?

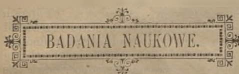
Gdyby zawierzyć współczesnym trąbom sławy, należałoby mniemać, że posiadamy dziś w sumie większy kapitał geniuszu, niż go miał skarbiec romantyzmu, że na niebie naszej literatury płoną olbrzymie słońca, przy których gasną wszystkie gwiazdy firmamentów obcych. Niestety, jest to astronomia złudzeń, reklamy i samochwalstwa, którą zresztą uprawia każdy naród i którą oczyszcza każda przyszłość. Ale przyznać trzeba, że obecna literatura nasza poszczycić się może talentami wysokiego stopnia, zwłaszcza w powieściopisarstwie. Są to wszakże przeważnie artyści, którym nie chodzi o ideje, lecz o piękno. Sztuka dla sztuki jest niewątpliwie dziedziną czystych pierwiastków życia ludzkiego, którymi ono się odradza i zasila. „Mojżesz" M. Anioła, „Madonna Sykstyńska" Rafaela, „Don Juan" Mozarta, katedra kolońska, dzieła te, pozbawione wyraźnej idei i będące tylko wcieleniami wiecznego piękna, dają duszom naszym głębokie i szlachetne wzruszenia. A jednakże możemy wyobrazić sobie bardzo wiele położeń i stanów, w których zapragniemy pokrzepienia od sztuki i w których nie zwrócimy się ani do Mojżesza, ani do Madonny, ani do Don Juana, lecz do jakiegoś innego utworu, z którego prześwieca idea. Tem bardziej nie zadowolą nas prace artystyczne niższego rzędu. Nasze najznakomitsze powieści współczesne będą jeszcze za lat 50 sprawiały przyjemność estetyczną naszym potomkom — wszakże nie nad to. Będą oni w nich zachwycali się opisami gór, doli, dni i nocy, bitew i biesiad, walk i pieszczot, egoizmu, miłości, gniewu, przebaczenia, słowem — obrazami widoków natury i objawów życia, ale pozostaną wobec nich zimni i różnią czasu przedzieleni. Będą rozglądali się w tej galeryi scen i wypadków—chwaląc lub ganiąc dobrze odmalowane niebo, ziemię, wyrazy twarzy, ruchy, stroje itd. Może nawet nieraz powiedzą, że dawniej odtwarzano rzeczywistość wierniej i barwniej, że pośród nich niema równie zdolnych artystów, jak my dziś mówimy, że nie umielibyśmy naśladować Fredry lub Rzewuskiego. Ale wszystkie te uwielbienia zamkną się w obrębie zadowoleń estetycznych. Już dziś nawet powieści nasze po za tym zakresem nie odpowiadają szerszym potrzebom umysłu i serca. Czytamy je chętnie jak zajmujące i kunsztowne bajki, które nie chcą niczego dowieść, tylko olśnić wyobraźnię. Dlatego podobają się one bardziej innym narodom, niż nam. Nieraz bywamy szczerze zdumieni, dowiedziawszy się, jak silne wrażenie na Anglikach lub Niemcach sprawił utwór polski, który nas wcale nie oczarował. Bo tam oceniono go tylko jako obraz artystyczny, upiększający salony życia, a nie jako symbol idei, wywołujący pewne ruchy uczuć i myśli. Wilk na śnieżnej płaszczyźnie — stadko kuropatw przytulonych pod krzakiem tarniny — jarmark — dożynki — modlący się żydzi — pojedynek dwóch rycerzów — rzeź wojenna — polowanie na niedźwiedzia — miłość potargana przeszkodami — wiarołomstwo ukarane — te i tym podobne tematy, przedstawiane pędzlem lub piórem polskiem, przypadną do gustu Amerykanina lub Niemca, pragnącego swe życie ozdobić dziełami sztuki. A czyż nas,

potomkowie będą tylko szczęśliwymi filistrami lub amatorami rzeczy pięknych?

J. Brandes powiada, że nasza spółczesna beletrystyka jest smutna. Rzeczywiście śmieje się ona kątem ust, a nie całem gardłem, nie śpiewa, nie skacze, nie stanowi chóru Bachusowego; mimo to wszakże, gdyby, zataiwszy jej pochodzenie, pokazać ją komuś przenikliwemu i kazać mu wywnioskować naturę społeczeństwa, które ją zrodziło, oświadczyłby niezawodnie, że jest to literatura ludzi zadowolonych. Przypuściłby, że nie należą oni do pieszczochów losu, ale nie widzą koło siebie powikłanych zagadnień, bolesnych dramatów, silnych wstrząśnień — tego wszystkiego, co stanowi właściwą „tragedyę człowieka.“ Jeżeli zaś doznają pewnych przykrości i kłopotów, są to drobne, o krótkiej fali zmarszczki powierzchni życia, która bardzo szybko się wygładza. Tacy ludzie kąpią swe dusze we wrażeniach estetycznych, a ich pozorny smutek artystyczny jest tylko bądź dąsami i kaprysami muzy, bądź jej wachlowaniem się dla złagodzenia zbyt surowego upału. Piastunka opowiada dziecku w ciepłym pokoju, jak to przykro podczas mrozu być na dworze. Podobnie czynią nasi powieściopisarze: opowiadają swym czytelnikom o dokuczliwości zimna dla tych, co nie mają futra lub ogrzanej izby. W kontraście położeń tkwi cały dramat, napojony przytem wiarą, że gdy jedni wyleczą się z próżniactwa i niedbalstwa, a drudzy okażą miłosierdzie, nie zbraknie nikomu izby i futra. Tymczasem zaś obraz iskrzącego się śniegu, sadzi na drzewach, sopli u dachów itd. jest bardzo ładny i żal byłoby go stracić nawet za cenę usunięcia złych skutków zimy. Bo przedewszystkiem chodzi o artyzm.

Zdaje mi się jednak, że młodsze pokolenie naszych beletrystów — mam zaś głównie na myśli Żeromskiego, Sieroszewskiego, Niemojewskiego, po części Daniłowskiego i innych — nie zamknie swych usiłowań w tem kole estetycznem i włoży w swe utwory tętna idei. Dotychczasowe ich prace upoważniają do tej dobrej wróżby. A w takim razie moglibyśmy być spokojni, że nasi potomkowie, kształcąc się na tegoczesnej literaturze, nie będą w niej oglądać tylko pięknych obrazków, lecz znajdą również światła życia, które nie prędko same gasną i nie łatwo czas je zdmuchuje. Życie nie jest szeregiem uczt i balów, dla których wystarczają artystycznie wyrobione żyrandole i lampy: ono, jak cała natura, potrzebuje słońc, gwiazd, księżyców, komet i meteorów — idei.

Poseł Prawdy.



Władysław Domański: *Wolność, równość i braterstwo*, **studyum krytyczne. Warszawa.**

Książka p. W. Domańskiego nagłówkiem swoim obiecuje bardzo wiele, lecz daje niezmiernie mało. Rzecz jest napisana lekko, oko ślizga się po stronicach, ażeby na każdej następnej zapomnieć o tem, co głoszono na poprzedniej, żadna głębsza, ani nowa idea nie przykuwa myśli czytelnika. Autor rozpoczyna broszurę swoją od uroczystego zapewnienia, iż dziś już nie ulega wątpliwości, że tak w dziedzinie ekonomicznej i politycznej, jak również w sferze spraw natury moralnej, bynajmniej „nie idee i zasady, a uczucia, niekiedy zaś nawet pojedyncze wyrazy kierują postępowaniem ludzi i rządzą narodami.“ Czcza frazeologia, a przecież w chwili obecnej tak rozpowszechniona pod wpływem jałowych, ale pokupnych rozpraw Gustawa Le Bona i innych przedstawicieli zdawkowej socyologii psychologicznej! Ażeby czem poprzeć to oświadczenie, przytacza argumenty, żywcem jakby wyjęte z pracy tylko co wymienionego pisarza francuskiego. „W istocie idee ogólne, będąc owocem długiej pracy umysłowej, dostępnemi być mogą jedynie szczupłej garstce umysłów. Jeszcze szczuplejsza ilość kieruje się niemi w postępowaniu, a już bardzo mało ludzi rządzi się niemi przy powzięciu tego lub owego postanowienia. Wówczas dopiero, kiedy idee ogólne przekształciły się w uczucia, przeszły do sfery sąsiadującej z nieświadomością i wyrażają się w ruchach bezwiednych z charakterem odruchowym, zaczynają one działać na masy, rozpowszechniają się z nadzwyczajną szybkością w drodze poddawania myślowego i naśladownictwa i potężny wpływ wywierają na losy narodów.“ Zawarto w tem powiedzeniu całą kwintesencyę wywodów socyologów-psychologów francuskich, — najjałowszej doktryny, jaka istnieje dzisiaj w zakresie społecznoznawstwa i która jest pośmiewiskiem dla głębiej myślących Niemców. W dodatku powtórzono bajeczkę o grzecznym i krnąbrnym dzieciaku, rozumie się w duchu szkoły psychologicznej. Dowiadujemy się więc, że tylko idee prawdziwe i pożyteczne, zanim przedostaną się do moralnej atmosfery mas i w nich się rozpowszechnią, podlegać muszą tak długiej i całkowitej przemianie; że rzecz ma się inaczej z ideami fałszywemi i szkodliwemi, które pochlebiając namiętnościom i złym instynktom, bywają przyswajane o wiele prędzej.

Nawet pojedyncze wyrazy kierują postępowaniem ludzi i rządzą narodami! Twierdzenie to p. Domańskiego stoi w dość rażącej sprzeczności z tem co powiada, że idee, zanim rozpowszechnią się, muszą długo terminować i przejść w uczucia. Może to „wyrazy“ nie zawierają w sobie żadnej idei, a może są to parszywe owce, które nieproszone wszędzie się wcisną... Do takich „wyrazów“ należą hasła wolności, równości i braterstwa, które autor poddaje rozbiorowi na stronicach swojej niewielkiej książeczki. Zapomniał on o tem, że wyrazy te były tylko sztandarami, pod którymi ongi ukrywały się potrzeby bardzo realne — zniesienia ograniczeń, nakładanych przez ustrój feudalny na członków społeczeństwa. Przedstawiały wtedy nie tyle określenie interesów pozytywnych, ile przeczyły podstawom porządku staroczesnego, i właśnie w takim charakterze dostały się do deklaracyi praw człowieka, jako sformułowanie poglądów społecznych mieszczaństwa (mówimy o wolności i równości). Są one czemś abstrakcyjnem, dotyczącem nie rzeczywistego człowieka z krwi i kości, ale człowieka, wziętego w oderwaniu. Taka ich natura jest w harmonii z całym przewrotem jaki odbył się w Europie przy przejściu od stosunków pańszczyźniano cechowych do ustroju wolnej konkurencyi. Przełom ów zamiast istniejącej organizacyi wprowadzał wolną konkurencyę, tj. nie potrzebował nic, ani nikogo organizować; dążył on do zwolnienia więzi społecznej z pewnych spoideł i pęt i nie nakładał nowych; dlatego nie posługiwał się ludźmi, znającymi praktycznie różne sfery życia, lecz adwokatami i w ogóle inteligencyą, zamiast doświadczenia mającą w głowie dogmaty Raynala i Rousseau, a za wszelką wskazówkę parę haseł. Lecz te wyrazy, zwłaszcza zaś wolność i równość posiadały naówczas zawartość bardzo zrozumiałą: natury przeczącej. Pod żadnym pozorem nie można zapominać o takim rodowodzie tych haseł. Dzisiaj one, co do swego znaczenia, poniekąd są starzyzną — mówię to z pewną obawą, ażeby nie dać komuś powodu do złego zrozumienia myśli mojej. Twierdząc coś podobnego, chciałbym zaznaczyć przedewszystkiem, iż doba dzisiejsza podłożyła pod nie poniekąd treść inną, mianowicie pod wolność; niektóre zastąpiła innemi hasłami, konkretnemi i natury dodatniej, dotyczy to równoznaczników braterstwa; wreszcie co do równości, odrzuciła ją, jako zasadę wyłącznie społeczeństwa mieszczańskiego. Rozbiór, któryby przedstawił czytelnikowi te zmiany, niewątpliwie byłby nader pożądanym przyczynkiem w naszej i nawet europejskiej literaturze społecznej. Niestety nadaremnie poszukiwalibyśmy go w książce p. Domańskiego, która uwikłana w pajęczynie pospolitego liberalizmu, nieco urozmaiconego przez paradoksy darwinizmu społecznego, dotyka zjawisk życia gromadnego powierzchownie.

Zatrzymajmy się chociaż nad jednym z owych trzech wyrazów, którym autor poświęcił swoją broszurę, mianowicie nad równością.

„Nierówności społeczne — pisze on — powstałe z przyczyn naturalnych i przekazano w spadku drogą dziedziczności, są dobre, sprawiedliwe i pośrednio dla całej bez wyjątku ludzkości pożyteczne; złemi, niesprawiedliwemi i szkodliwemi bywają tylko sztuczne środki, przeciwne naturze, stosowane w celu urobienia człowieka, jego życia, obyczajów i instytucyi.“

Tak, p. Domański spogląda na nierówności, istniejące w społeczeństwie, a prawdopodobnie ma na myśli te, które z sobą przynosimy na świat przy urodzeniu w formie niejednakowych uzdolnień, potrzeb i instynktów. Niewątpliwie, nierówności tego rodzaju są stałym przymiotem rodu ludzkiego, zwłaszcza bardziej posuniętych jego odłamów. Pod względem rozmieszczenia zdolności naród możemy przyrównać do pasma górskiego, w którym, skryte pod cieniem wysokich wierzchołków, drzemią głębokie otchłanie i przepaście. Tak samo w społeczeństwie istnieją osoby potężniejsze duchem i w spadku przekazujące potomkom swoim uzdolnienia, jeśli naturalnie nie pokrzyżują krwi swojej z posiadaczami mniejszych zasobów umysłowych. Kwestyę tę z całą mocą wystawiła antropotechnika, nie omieszkując przy każdej sposobności zaznaczać, iż trwonienie kapitałów mózgowych przez eugenistów ducha jest, z stanowiska społecznego, postępowaniem jak najlekkomyślniejszem. Stworzyła ona nawet ideał podnoszenia całego narodu na poziom takiego arystokratyzmu organicznego przez szerzenie nowych poglądów moralnych, że tylko zdolni powinni pozostawiać potomstwo. Ideał taki świadomej hodowli rodu ludzkiego przewybornie godzi się z zasadami demokratyzmu, bo za cel swój stawia niewytworzenie arystokracyi naturalnej, lecz, z pomocą inicyatywy moralnej, usuwanie gminu organicznego od pozostawiania dzieci, natomiast jedynie eugenistom przyznaje prawo zawierania płodnych stosunków małżeńskich. Nierówność uzdolnień idzie w parze z nierównością potrzeb i pragnień. Równość mieszczańska, tj. głoszona przez ideologów występującego do walki stanu trzeciego, nie uwzględniała tej faktycznej nierówności, ukrywającej się w cieniu. Znaleźli się przecież metafizycy społeczni, którzy w ten sposób spojrzeli i wywnioskowali z tego odpowiednie życzenia, głosząc, iż jednostka winną jest gromadzie wysiłki, o ile pozwalają jej zdolności, od niej zaś ma prawo żądać zaspokojenia swych potrzeb. Mówiąc o tem twierdzeniu, zgoła nie mam zamiaru tutaj go bronić, wskazuję tylko, że p. Domański potyka się przeciw starzyznie i nie spostrzega, że na widnokręgu stają inni przeciwnicy, którzy przeciw równości mo-

gliby wystawić głębsze argumenty, niż jego.

Właśnie w takich pracach jak p. Domańskiego w całej pełni ujawnia się jałowość i niski polot liberalnej fuszerki w dziedzinie socyologii. Wyrazy rządzą narodami, rozszerzają się pod wpływem naśladownictwa! Ponieważ zaś umysł człowieka jest skłonniejszy do złego, niż do dobrego, więc przedewszystkiem rozpowszechniają się idee, przemawiające do namiętności! Zaiste jakie to liche i powierzchowne pojmowanie istoty społecznej! I nadto, zawsze ów brak zmysłu historycznego, który stanowi nieodłączną właściwość szkoły liberalnej. Zamiast zbadania, czem były „wyrazy" w chwili ukazania się swego na widowni dziejowej, przez kogo były szerzone, jak głęboko przeniknęły w masy i dlaczego posiadały taki rozgłos i powodzenie, bierze autor je, jako przybłędy bez rodziców, jako wytwory umysłu oderwanego i w ten sposób odarłszy z ciała i pozbawiwszy ostatniej kropelki krwi, poddaje analizie. Rozumie się, odrazu traci wszelką nić przewodnią: sztandary bojowe, w pewnej epoce zrozumiałe dla każdego, pod jego lekkomyślną ręką zamieniają się na „wyrazy."

K. R. Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.



Ludwika Godlewska (Exterus) *Kato.* Powieść. 2 tomy. Warszawa.

Ukazała się przed paru laty w łamach *Ateneum* powieść „Po zdrowie," podznaczona zagadkowem imieniem „Exterusa." Spotkaliśmy tam wrzące namiętności, tragiczne starcia, charaktery czarne, aż szatańskie, i białe, aż anielskie; widma żeńskie wypijały krew z suchotników... A mimo rozrzutnego szafowania barwą czarną i białą, chaotycznie tłoczące się w dziele nieznanego autora osoby nie posiadały właściwie znamion indywidualnych. Utwór wogóle był bardzo słaby, wszakże bystry wzrok znakomitego naszego krytyka, P. Chmielowskiego, wykrył w nim oznaki talentu. W drugiem większem dziele tegoż pióra: „Kato," oznaki te są już tak wyraźne, iż wszyscy teraz możemy je rozpoznać. Na konkursie *Głosu* nagrodzono właśnie najnowszą powieść Exterusa, który odtąd będzie już dla nas Ludwiką Godlewską. Czego się mamy spodziewać po bojowniczce, wstępującej w szranki powieściopisarskie?

Umie ona pozyskać sympatyę czytelnika świeżością swego talentu, w jej duszy istnieją strony, uzdalniające ją do odczucia pewnych prądów umysłowych i uczuciowych w naszem społeczeństwie, do wpatrzenia się w pewne objawy życiowe wśród młodszego pokolenia zarówno męzkiego, jak niewieściego. Stąd pochodzi możność stworzenia lub przynajmniej zarysowania charakterów indywidualnych, stąd niejeden oryginalny rys w wyprowadzonych na widownię powieściową osobach lub ich wzajemnych stosunkach. Oto np. w „Katonie" jesteśmy obecni na pożegnalnej uczcie koleżeńskiej kilku młodzieńców, którzy po ukończeniu wyższego zakładu technicznego rozchodzą się w różne strony za chlebem i pracą. Z większą wyrazistością zostały przez autorkę uwzględnione osobnicze znamiona ich usposobień wewnętrznych, niż bezpośrednie cele ich ideałów lub różnice przekonań. Mają więc ster i wytkniętą metę, a mimo to każdy z nich doznaje wrażenia, jakby stanął na rozdrożu niepewny, w którą ma się obrócić stronę. „Dotąd wiedział, czego chce i dokąd dąży, a teraz się przekonał, że głównie dążył do dyplomu, bo reszta gdzieś się zaprzepaściła." Nie znają tego uczucia ci, co przez dyplom zdążali do karyery, bo z dobrze udeptanej ścieżki wyjdą na bity gościniec życia. Po co się wahać i namyślać? Pójdą, gdzie inni. Lecz bohaterowie Godlewskiej postępują do czasu wraz z innymi utartą koleją, ukazywali sobie nawzajem dalekie wyżyny, kres ich drogi; stwarzali dla siebie w najogólniejszych zarysach modłę odmiennego, niż dla innych, spotęgowania w przyszłości. I oto przyszłość nadeszła. Czyimi teraz śladami piąć się będą w górę! Autorka umiała wyczytać w młodem sercu to drżenie trwożnego niepokoju.

Niestety, niepokój miał swe przedmiotowe podstawy: niewielu z grona kolegów przechowało w duszy płomienie dawnych ideałów: czy to dlatego, że ciężar życia zbyt przygniótł ich barki, czy to, że charaktery były zbyt kruche. Tracimy ich wkrótce z oczu, oprócz trzech głównych bohaterów powieści. Z nich Kubacki, z liter i wielu właściwości usposobienia anagram Bukackiego w „Rodzinie Połanieckich," jakiś czas nadto przejęty kosmopolityzmem, studyujący „specyalną" literaturę i lekceważący historyę, po wielu błędnych wędrówkach znalazł drogę do penatów ojczystych. Romantyk Znamieniecki, dla uratowania kawałka ziemi dziedzicznej oddał się robieniu pieniędzy na szerszym świecie i powraca, aby sprowadzić zawikłania tragiczne. Wreszcie Andrzej Krępic. Kato, który nie zna, co kompromis z sumieniem, dla którego *jedna* jest tylko droga prosta pozostaje zawsze w polu widzenia czytelnika; nie zawsze przecież jest równie zajmującym. Jest pewna analogia pomiędzy zachowaniem się Krępica w chwili, gdy opuściwszy instytut, nie bardzo wie, co ma z sobą robić, a stosunkiem autorki do stwarzanych przez siebie osób. Póki jej bohaterowie nie przekroczyli jeszcze progu życia, poty w nich dostrzegamy jakąś świeżość uczucia i myśli, jakąś oryginalność charakteru. Stopniowo postacie ich stają się jeśli nie szablonowemi, to przynajmniej jakoś zatartemi. Krępic np. z pewnością okazał się godnym miana Katona, kiedy, zdławiwszy w sobie ból, a słusznie sądząc, że „serce nie sługa, nie zna co to pany," usunął się dobrowolnie na stronę i ułatwił połączenie się rozkochanej w sobie pary, choć tę parę składali żona i przyjaciel... Ale działalność jego, o ile jest skierowana ku celom ogólniejszym, jest jakąś niewyraźną, właściwie trzebaby powiedzieć nijaką, i gotuje nam nawet pewne niespodzianki. Jego *jedna* droga ma bardzo bliskie pokrewieństwo ze zwykłym oportunizmem, nadzianym dobrymi zamiarami, a zupełnie „kokosowe" zadowolenie z siebie nic nie ma dla nas szczególnie pociągającego. Zapewne, rozwijanie programów publicystycznych nie byłoby w dziele sztuki rzeczą pożądaną. Istnieją inne, niemniej ważne okoliczności, wpływające na powściągliwość autorki, gdy kreśli sylwetki swych bohaterów. Ale np. o Raduskim w „Promieniu" Żeromskiego nie istnieją względy, krępujące go w równej mierze, jak autorkę „Katona"? Poprostu u niej z umiejętnością podpatrzenia pewnych oryginalnych rysów nie idzie dotąd w parze plastyka i zdolność stworzenia konsekwentnych charakterów.

Z żalem muszę pominąć doskonałe sylwetki p. Marychny Rodziewiczowej i jej męża, bo pilno mi do panny Emilci Olchowiczówny, późniejszej pani Andrzejowej. Za nią powinniśmy być prawdziwie wdzięczni autorce, gdyż jest to postać oryginalna w najwyższym stopniu, drgająca życiem w każdym swym ruchu, słowie, myśli, spojrzeniu. To nie książkowy ideał, zachowujący zupełną równowagę uczuć, myśli, czynów! Czy podobna mówić o równowadze, jeżeli u p. Emilci wyrywanio się ku szerszej działalności i rozleglejszym widnokręgom, kiedy poczucie godności kobiecej ujawnia się u niej w jakiejś pociesznej androfobii, tak daleko posuniętej, iż o koleżankach, które za mąż powychodziły, emancypantka nasza odzywa się z ubolewaniem: A zdawało się, że to takie porządne dziewczęta! Na ustach czytelnika wywołują uśmiech podobne tym tysiączne naiwności p. Emilci, jej szorstkie, zgoła niepanieńskie zapędy, świadczące jednak o zupełnej czystości myśli i wyobrażeń, o wielkiej szlachetności duszy. I dlatego uśmiech nasz nie ma w sobie nic zgryźliwego, i łatwo przeistacza się w serdeczne i żywe dla dziewczęcia współczucie, gdy dusza jego w mroźnej atmosferze zwija się w sobie, kurczy i ziębnie: kiedy wszelkie porywy ku zapełnieniu życia jakąś treścią bywają tłumione i gdy tę duszę gwałtem wtłaczają w gorset panny na wydaniu. A tymczasem emancypacya p. Emilci łatwo by się zadowoliła urządzeniem szkółki wiejskiej, rolą mistrzyni i siostry miłosierdzia w chłopskiej chacie. Lecz jakaż to karyera dla panny z „białego dworu"?

Po jednej z burz domych, kiedy Krępic zapewnił, iż nigdy nie zabroni żonie czytać książek, choćby Darwina, ani będzie ją zmuszał, żeby się pokazywała ludziom z obnażonymi ramionami i biustem, p. Emilcia oddała mu swą rękę. „I tu jest nasze z pieśnią rozstanie," bo p. Andrzejowa ma być już „czynem." Jedną ze zmian w jej usposobieniu jest rozsądniejszy pogląd na rzeczywistość, która się p. Emilci przedstawiała bardzo chaotycznie. Ale taka zmiana jest zupełnie naturalną. O co innego nam chodzi. Owa dawna skrzydlata p. Emilia pragnieniem czynu na szerszej widowni przeciwstawia teraz zasadę, iż należy być małem kółkiem w maszynie społecznej. Przysłuchujemy się jej z podziwem i uczuciem zawodu. A co ważniejsza, nie spotykamy się tu jeno z wyrozumowaną zasadą, przez przemożne okoliczności narzuconą, lecz z brakiem wszelkiej tęsknoty ujrzenia jakichś namacalnych skutków swej działalności, lecz z ograniczeniem się ducha w ciasnej sferze mrówczych obowiązków i mrówczej pracy. Istnieje wszelako w duszy p. Krępicowej jakiś zaczyn niezadowolenia. Pochodzi tą stąd, jak sądzimy na pierwszy rzut oka, że panią Emilię przeniesiono do miasta, wyrywając ją z gruntu dla niej najodpowiedniejszego. Na wsi byłaby w swoim żywiole i nie troszczyłaby się o to, czy jest dużem, czy też małem kółkiem. Lecz nie. Podstawy szczęścia p. Emilii nie były trwałe z całkiem innych powodów: nie kochała męża. I oto po zjawieniu się Zygmunta Znamienieckiego, kobieta o temperamencie chłodnym, kochająca nadewszystko swe dziecię, przejęta myślą o potrzebie pracy społecznej i mająca na tem polu, jak na każdem innem, serdecznego przyjaciela w mężu — ta kobieta ogarnięta została tak przemożną namiętnością, iż porzuca dom i syna i idzie za swem przeznaczeniem. Niedalekie już rozwiązanie tragiczne: rozdarta na dwoje sprzecznemi uczuciami, nieszczęśliwa padnie w tej walce. Śmierć będzie dla niej wybawieniem.

Nie będziemy się wdawali w rozbiór mniejszego lub większego prawdopodobieństwa tego powikłania romantycznego i związanych z niem zagadnień psychologicznych, estetycznych i etycznych: są one dla nas obojętne. Jak Krępic wykazał swój katonizm przeważnie w zakresie stosunków osobistych, tak też i jego żona staje się heroiną jednego jeszcze nieszczęśliwego a strasznego romansu. „Kato" sprowadza się do tego cennego mianownika, co „Po zdrowie." Ani zasób spostrzeżeń autorki jest tak obfity, aby z tego materyału można było wznieść budowę do szczytu, ani jej wyobraźnia dość ruchliwą, plasty-

czną i zdolną do trwałego wysiłku, aby własną potęgą zapełnić braki doświadczenia. Podpatrzone przez nią oryginalne rysy, objawy życiowe, charaktery, mające dla nas siłę przyciągającą, nie wytwarzają same z siebie dramatycznych kolizyj, których autorka poszukuje na całkiem obcem tym objawom polu. Twórczość L. Godlewskiej należy jeszcze do przyszłości. To wszystko, co już nam dała, jest dopiero zapowiedzią. Miejmy nadzieję, iż zawodu nie doznamy.

Jeszcze słówko. W stylu p. Godlewskiej często znać wpływ Sienkiewicza. Autor „Quo vadis“ nie daje nam ogólnych idei, nowego rozumienia świata i duszy ludzkiej; pod względem formy nie stwarza nowych efektów, nie wskazuje nowych dróg. Więc co w nim naśladować? Olbrzymią plastykę, wyrazistość charakterystyki, jaskrawość kolorytu, ognistą wyobraźnię? Takich rzeczy się nie pożycza, w sobie je tylko znaleźć można. Pozostaje więc tylko to, co jest manierą, jakieś właściwości stylu w rodzaju: „że jednak“ tam, gdzie ani cienia przeciwstawności dwu pojęć. Pozostaje nadto utrapiona „analiza psychologiczna,“ tj. komentarz do najprostszych, najmniej złożonych poruszeń duszy. Autorka „Katona,“ jak wielu innych „psychologów“ przypuszcza, iż jej czytelnicy mają bardzo ograniczoną zdolność kombinacyjną. Z utęsknieniem wyglądamy chwili, kiedy powieściopisarze korzystniejsze o nas powezmą wyobrażenie.

A. Drogoszewski.

CUDZOZIEMCY O LITERATURZE POLSKIEJ

Zaczynając od Niemiec. W nr 18 tygodnika *Neue Zeit* mieści się artykuł pani dr. F. Proelmikowej o Andrzeju Niemojewskim. Nosi on bardzo znamienny tytuł: „Dekadencya i niedekadent.“ Autorka zaznaczywszy powszechność choroby na dekadentyzm, przeciwstawia jej młodego poetę polskiego. Daje ona kilka zręcznie dokonanych przekładów, wyróżnia jego „Pean“ i „Protest.“

Literatura angielska przyswoiła sobie „Dziennik Franciszki Krasińskiej“ (Londyn, 1898). Książka wydana bardzo ozdobnie. Upiększa ją kilka drzeworytów, przedstawiających ruiny zamku Maleszowskiego, Zamek królewski w Warszawie i Łazienki, a na wstępie portret Franciszki Krasińskiej, według obrazu Angeliki Kaufmann. Dowiadujemy się z podpisu, że pierwowzór jest w posiadaniu wdowy po Jerzym Rutledgo Prestonie z Nowego Yorku. Tłomaczenia dokonała pani Kazimiera Dziekońska.

Przechodzę do Francyi. W numerze z d. 11 listopada postępowy dziennik *La Volonte* umieścił treściwy artykuł p. Wiktora Joze'a o literaturze polskiej. Autor kreśli najpierw sylwetkę Sienkiewicza, wyróżniając „Bartka zwycięzcę,“ „Ogniem i mieczem“ i „Quo vadis.“ Następnie mówi o Prusie. Według niego największe (?) powodzenie miały „Emancypantki“ i „Lalka.“ W wyliczaniu dalszych pisarzy jednak trochę mu się nie wiedzie. Przytacza Przyborowskiego, Gawalewicza, Wołowskiego, Orzeszkową, Szeligę i Zapolską, a nie mówi nic o Reymoncie, Żeromskim, Sieroszewskim, ani Dąbrowskim. Jako dramaturgów wymienia Kazimierza Zalewskiego, E. Lubowskiego i — Stanisława Rzewuskiego.

Sąd o poezyi polskiej jest znowu słuszny. „Po śmierci Adama Asnyka — pisze Joze — pierwsze miejsce wśród poetów współczesnych zajmuje kobieta, M. Konopnicka. Bardzo postępowe myśli tej autorki i wielkie współczucie dla cierpień ludzkich czynią z niej śpiewaczkę boleści.“

Przy tej sposobności podnosi również zalety literackie poety, którego u nas zdaje się zupełnie przeoczono. „Przytoczmy w końcu pisarza dotąd nieznanego, Jana z Jassyra, który ogłosił w Paryżu u Reiffa tom swoich poezyj. Czytałem je z najżywszą przyjemnością i znalazłem wśród nich strofy liryczne tak piękne, że mógłbym je porównać tylko z niektórymi ustępami słynnej „Maryi“ klasycznego poety polskiego, Malczewskiego.“

To samo pismo. *Volonte*, wyznaczyło jako nagrodę dla swoich czytelników, którzy wykażą się trzydziestu jego numerami, wydaną niegdyś u Savine'a książkę Władysława Mickiewicza: „Adam Mickiewicz, sa vie, son oeuvre.“

O Mickiewiczu umieściła *L'aurore* bardzo serdeczny artykuł. Oto ważniejsze jego ustępy:

Jego dzieła są wzruszające, urocze i wspaniałe. Odnajduje się w nich zarazem akcent Byrona i naszego Mussetu, Goethego i Wiktora Hugo. Mistyczny i słodki piewca sielanek napisał stronice proste i silne, stronice epiczne, piękne jak pieśni Iliady.

Widzieliśmy go w College de France, oklaskiwanego przez tę samą entuzyastyczną młodzież, która nosiła w tryumfie Micheleta i Edgara Quineta. Jedna z książek Mickiewicza natchnęła Lamennais'go do „Słów wierzącego“ (*Les paroles d'un croyant*).

We Francyi chciał on mieć swój grób i do r. 1890 ciało jego spoczywało w Montmorency. Przed jego to trumną rzekł Renan: Pani Sand, jako prawdziwa siostra, odgadła z pierwszego słowa jego geniusz, bo odczuła dobrze, iż to serce bolało nad wszystkiemi naszemi ranami, iż wszystkie nasze drgania odbiły się w niem. Sława mu!“

Wspomnę jeszcze artykuł Gabryela Sarrazina. Autor kilku powieści i dwóch dzieł krytycznych z literatury angielskiej ma zamiar poświęcić tom studyów literaturze polskiej. Ogłosił on w *Bulletin polonais* urywek z pracy o Mickiewiczu, odnoszący się do „Konrada Wallenroda.“ Jest to — mówi on — poemat romantyczny niezwykłej piękności. Nieustanność akcyi, zmierzającej nieprzeparcie do rozwiązania, zakończenie „godne epopei,“ ustępy liryczne, z których szczególniej pieśń o Wilii i wynurzenia Aldony (Myślałam sobie: gdyby te skowronki ze skrzydeł swoich dały mi po piórku) podobały się Sarrazinowi, podnoszą, zdaniem jego, „Konrada“ do rzędu najwybitniejszych utworów literatury europejskiej dziewiętnastego stulecia.“

Najżywszy atoli udział przyjął w święceniu pamięci Mickiewicza powszechnie znany tygodnik *Revue encyclopedique*. Wydał on osobny numer, złożony z artykułu Ludwika Légera o Mickiewiczu, z szeregu przekładów prozą tegoż tłomacza i z wiązki sądów znakomitych pisarzy francuskich o twórcy „Pana Tadeusza.“ Oprócz tego cały zeszyt ozdobiony jest licznemi ilustracyami.

Znajdują się tu wizerunki: grobu Mickiewicza w Montmorency, uniwersytetu wileńskiego, domu gdzie mieszkał Mickiewicz w Kownie, klasztoru Bazyliańskiego w Wilnie, domu, gdzie zmarł poeta w Konstantynopolu, jego sarkofagu w Krakowie, pomnika krakowskiego, sceny odsłonięcia tamtejszego pomnika, sali wykładów w College de France. Nadto jest szereg portretów: Wańkowicza, Oleszkiewicza (1828) Schmollera, Horowitza, Lowcego (1834): obraz medalionu i popiersia wykonanych przez Dawida d'Angers i medalionu umieszczonego parę lat temu w sali College de France przedstawiającego ustawione przy sobie popiersia Mickiewicza, Micheleta i Quineta. Znalazły się także podobizny Maryli, Towiańskiego i obrazu Oleszczyńskiego: Mickiewicza na śmiertelnem łożu.

Artykuł Légera nie wnika w psychologię poety, ale daje dobry zarys biograficzny i pojęcie o „Dziadach.“ „Wallenrodzie“ jako też części ballad. Ponieważ o „Panu Tadeuszu“ traktował autor gdzieindziej w II tomie (*Russes et Slaves*), więc tu poświęca mu tylko parę ustępów.

Jeżeli czytelnikowi artykuł Légera nie udzieli ognia, ani majestatu, jakimi tchną utwory Mickiewicza, to unaoczni on przynajmniej wielostronność geniuszu. Zestawiając jego dzieła z podobnemi w literaturze zachodnio-europejskiej, autor zaznacza jasno, jak wybitne miejsce powinien tam zająć poeta polski.

„Najlepsze ballady Mickiewicza—powiada Léger — mogą współzawodniczyć z balladami Goethego, Schillera albo Wiktora Hugo. Język ich jest giętki, bogaty, malowniczy, harmonijny.“

Z powodu sonetów krymskich mówi: Możnaby napisać ładny rozdział w historyi literatury o oryentalizmie w poezyi. Mickiewicz stanąłby tu chlubnie obok Puszkina, Lermontowa, Goethego, Rückerta, Byrona, Tomasza Moore'a i naszego Wiktora Hugo.

O ustępach „Konrada Wallenroda,“ „jaśniejących często, zarówno w dziale epicznym jak lirycznym, nieporównaną pięknością,“ mogą dać niejakie pojęcie „tylko najbardziej wykończone poematy „Legendy Wieków“ W. Hugo, o ognistym pędzie „Farysa,“ potrosze tegoż poety „Mazepa,“ a jeszcze bardziej „Król olch“ Schuberta. Wiersz do Maryli pisany na Splügenie „posiada budowę antyczną, której nie wyparłby się Wirgiliusz i do której z entuzyazmem przyznałby się Andrzej Chénier.“

Co do improwizacyi Konrada w „Dziadach“ siła stylu, dytyrambiczny charakter ustępów, bogactwo obrazów, niezwykła śmiałość myśli czynią z niej napewno jeden z najznakomitszych ustępów literatury powszechnej. Żaden przekład nie odda Pindarowego jej polotu.

„Pan Tadeusz“ kolejno epiczny, liryczny, opisowy, zaciszny, przypomina zarazem „Hermana i Dorotę,“ Iliadę, Don Kiszota i „Pieniaczy“ (*Les Plaideurs*) Jana Racine'a. Uraga on klasyfikacyom poetyk i aby go dobrze zrozumieć we wszystkich szczegółach, potrzeba nieco dłużej zatrzymać ich nad nim: ale jest to arcydzieło, przynoszące zaszczyt dziewiętnastemu wiekowi.“

Można się nie zgodzić z niektórymi wywodami Légera. I tak „wielki wpływ“ powieści pani Krüdener „Walerya“ na „Dziady“ ogranicza się przecie prawie głównie wzmianką w pierwszej części i imieniem bohatera. — Léger przedstawia sobie Litwę chyba jako zbyt małą, jeśli sądzi, że „w miastach i miasteczkach litewskich wszyscy znali historyę nieszczęśliwej miłości Adama i Maryli.“ — Porównanie siły poetyckiej Kochanowskiego z Malherbem, który, zdaniem dowcipnego Banville'a, wypłoszył muzy z Francyi, jest zupełnie niestosownem. — Sonet został według Légera wprowadzony do Polski niedawno, bo — około 1560 przez Sępa Szarzyńskiego.

Wątpliwem jest wielce, czy ostatni wiersz „Romantyczności:“ Miej serce i patrzaj w serce—jest, jak chce Léger, naśladownictwem dwuwiersza Goethego: Doch werdet ihr nie Herz zu Herz schaffen, wenn es euch nicht von Herzen geht. — Uważamy za błędne wyjaśnienie Farysa jako „symbolicznego obrazu przeszkód, które pokonywa geniusz, aby osiągnąć wymarzony ideał!“ Co za racyonalistyczne tłomaczenie utworu, który właśnie jest wyrazem zasady „sztuka dla sztuki.“ Czy sam obraz Beduina walczącego z żywiołami pustyni nie jest dość potężnym, aby nęcić poetę? Czy nie znajduje w nim uzewnętrznienia wewnętrzna energia młodego piewcy (zarazem studyującego wschodnie utwory)?

Trąci także potrosze myszką dopatrywanie się wpływu na improwizacyę Kon-

rada „Prometeusza“ Eschylosa i Goethego, „Mojżesza“ i „Stella“ A. de Vigny'ego, może także doktryn Schellinga.“ Podobnych drobiazgów, przy których można wstrząsnąć głową, jest jeszcze kilka.

Piękną i jędrną prozą przetłomaczył Leger: „Do Niemna,“ „Odę do młodości,“ improwizacyę Konrada, wyjątek z czwartej części „Dziadów,“ grę na rogu i opis kwestarza z „Pana Tadeusza.“ Język przekładu jest o wiele lepszy, niż w prozaicznem również tłomaczeniu dzieł Mickiewicza, dokonanem przez Władysława.

W dziale „Zdania o Mickiewiczu“ znajdujemy Micheleta „Mickiewicz w College de France,“ poglądy pani George Sand i Montalemberta o „Dziadach.“ Zeszyt zamyka bibliografię najważniejszych dzieł o Mickiewiczu jako też i francuskich przekładów. *B.*

UPADEK TEATRU.

I.

Postęp ludzkości nie dąży bynajmniej w kierunku estetyki. Wielka sztuka na pewno zaniknie. Nastąpi czas, kiedy uważana będzie za rzecz przeszłości, za kreacyę raz na zawsze zakończoną, którą można uwielbiać, przyznając zarazem, iż nie jej wskrzesić nie zdoła.“ Ta przepowiednia Renana zdaje się urzeczywistniać na dramacie, który jest najwyższą syntezą wszystkich sztuk. Jeden z lepszych krytyków współczesnych, L. Muhlfeld, dowodzi w osobnej rozprawie, iż koniec dramatu już nastąpił. Teatr może się rozwinąć tylko w środowisku, gdzie życie społeczne jest bardzo rozwinięte. Publiczność nie jest tłumem obcym, który należy bawić. Jest ona na równi z aktorami i z poetą jednym z czynników, które składają sztukę teatralną. Akcyi widowiska musi odpowiadać reakcya widzów i tylko ze starcia tych dwu prądów wynika wzruszenie dramatyczne. Myśl poety nie jest urzeczywistnioną przez ruchy i deklamacye aktorów, lecz w organizmie harmonijnem, które obejmuje jednocześnie i salę i scenę.

Otóż poeta daje tylko syntezę tego, co widział w życiu rzeczywistem. Jego własne wzruszenie mogło powstać tylko w środowisku o życiu społecznem nader natężonem. Dlatego też jedynie takie środowisko może stanowić atmosferę odpowiednią dla rozwoju teatru. Samo życie publiczne, w którem poeta uczestniczy, bądź jako działacz, bądź jako widz, musi mieć charakter ożywiony, teatralny, gdzie są z jednej strony działacze, a z drugiej galerya.

To też narody, u których teatr doszedł do szczytu swego rozwoju — to Grecya starożytna, Anglia i Francya za czasów, gdy życie publiczne płynęło w nich najszerszym potokiem. Zwycięstwo nad Persami, zapewniające bezpieczeństwo zewnętrzne, wywołało rozkwit ostateczny życia publicznego w Atenach. Wszyscy obywatele przyjmowali udział bezpośredni w zarządzie Rzeczypospolitej i to nie za pomocą zastępstwa wyborczego, lecz każdy mógł być mówcą, prawodawcą, sędzią, administratorem, generałem. Każdy obywatel żył dla społeczeństwa całego, tj. dla jego uwielbienia, wdzięczności, sławy. W takiem środowisku teatr miał pole naturalne dla swego rozwoju. Był on funkcyą publiczną. Utrzymywany przez państwo lub bogatych obywateli, dawał widowiska bezpłatne narodowi całemu. Sztuki były przyjmowane przez rodzaj komitetu, który reprezentował smak publiczny. Był to teatr w pełnem znaczeniu tego słowa narodowy, teatr, w którym artyści, jak Eschylos, Sofokles, Arystofanes pokazywali, według patetycznego lub ironicznego nastroju swoj uczuciowości, życie bohaterskie przodków lub śmiesznostki i słabostki współczesnych. Naród ten, najinteligentniejszy z pośród narodów świata, drżał wspólnym zapałem, słuchając „Ifigenii“ lub „Persów.“ A gdy Arystofanes piętnował w „Rycerzach“ rozpalonem żelazem satyry ohydnych demagogów, tłum pałał gniewem i nienawiścią. Tak napaści otwarte na Kleona uważane były za zupełnie odpowiednie w teatrze. Później to karcenie publiczne mężów stanu zakazane zostało. Ateny poddały się ciemięztwu i w tym upadku bezsilnym, na równi ze śmiercią życia publicznego, nastąpił koniec teatru.

Takąż samą równoległość można wykazać w historyi społeczeństwa i teatru Francyi i Anglii. We Francyi stosunki towarzyskie rozwijają się dopiero z początkiem XVII w. Rozpoczyna się słynny wiek życia dworskiego, okazałego, które w zupełności się różni od Grecyi starożytnej, gdzie życie towarzyskie opierało się na sprawach publicznych, gdzie święta nawet były religijnemi lub państwowemi. We Francyi natomiast król i jego dwór byli ogniskiem i przyczyną wszystkiego. Dlatego też nigdy życie towarzyskie nie było bardziej geometrycznem, sztucznem, bardziej obłudnem, ale zarazem bardziej okazałem. Wszystko tam polegało na powierzchowności, na pozorach. Ten gmach stosunków nie był zbudowany dla wygody tych, co wewnątrz mieszkali, lecz dla widowiska i ostentacyi tych, co na zewnątrz pozostawali. To klasa panująca chciała imponować niższym. Bądź co bądź, wiek XVII jest epoką rozkwitu życia towarzyskiego we Francyi, a zarazem i teatru. Przedtem sztuki dramatycznej niema — jeżeli nie uważać za nią prób, początków, tłomaczeń. I oto w ciągu lat piętnastu komedya i tragedya pojawiają się i dochodzą do zupełnej doskonałości. Majestat zimny i wspaniały tej ostatniej zastosowany jest do wymagań etykiety lodowatej, którą tchnął Ludwik XIV; wesołość i dowcip pierwszej odbijają zwyczaje i elegancyę zmanierowanej szlachty, szydzącej z dorobkiewiczów, pnących się ku górze. Ci ostatni wywzajemniają się tąż samą monetą — śmiechem. Konwencyonalność tej sztuki wyraża tylko nienaturalność życia samego. Tamta stanowi tylko uzupełnienie tego ostatniego. Teatr wyrażał życie nietylko dworskością strojów i manier, lecz swymi poglądami, językiem, przejrzystością aluzyj, które dotyczyły osób żyjących. Życie wstępowało do teatru i to tak dalece, iż widzowie zapełniali zwykle scenę. Jakąż rozkoszną oryginalność musiało mieć przedstawienie takiego „Impromptu de Versailles,“ w którem Moliere zbiera na tej samej scenie dworaków i komedyantów, wyszydzających pod okiem króla śmieszną impertynencyę tuż obecnych margrabiów.

Związek życia ze sztuką oczywiście jeszcze występował w baletach, które Ludwik XIV kazał przypinać do komedyi i w których nie pogardzał sam występować. Albo też weźmy te uroczystości zarazem teatralne i towarzyskie, dla których sceną był park królewski i w których intermedya dramatyczne, tańce i muzyka stanowiły część nierozłączną święta dworskiego, należąc jednocześnie do poezyi, baletu i historyi, jak to widzieć można w „Fêtes l'Isle enchantée“ Moliere'a.

Ta okazałość życia towarzyskiego i publicznego nigdy już później we Francyi wskrzeszoną nie została. Powaga władzy słabła wciąż, a społeczeństwo coraz bardziej się rozdrabniało. Zamiast jednego dworu, istniało dwadzieścia lub sto salonów, a jednocześnie teatr coraz bardziej się wycieńczał. Z upadkiem wielkości tragedya znikła. Tylko komedya zachowała grunt dla swego istnienia. Życie salonowe pochwycone zostało w swym uroku i nicości przez Marivaux, grubiaństwo dorobkiewiczów pieniężnych przez Lesage'a, a gorączka sporów przedrewolucyjnych — przez werwę Beaumarchais. W jego sztukach dawny ustrój Francyi oklaskiwał własną swą ruinę. Po katastrofach Rewolucyi i wojnach Cesarstwa dramat artystyczny zamiera, gdyż nie mogą być jego mianem nazywane ani sztuki Dumasa ojca, ani sztuki Scribego. Nie było już środowiska dla rozwoju teatru: równość, znosząc hierarchię, zniszczyła spójność całości na korzyść jednostek. Monarchia konstytucyjna nie pod tym względem nie zmieniła. Tylko oszustwo Napoleona III zelektryzowało towarzystwo do artystycznych bachanalij Offenbacha, w których czuć, że świat moralny wyważony został z podstaw.

Dramat był także syntezą ożywionego życia publicznego i w Anglii, z jej energicznemi dążeniami z czasów Odrodzenia, i w Hiszpanii, z jej wiarą ponurą i mistyczną. Otóż nasza epoka nie zna już takich wspólnych polotów duchowych, odznacza się ona postępowaniem czysto osobistem. Walka o pieniądz ogarnęła całe społeczeństwo, od dołu do góry. W salonach zbierają się ludzie nie dla konwersacyi, lecz dla interesów. Egoizm i egotyzm panuje wszechwładnie, ale serce w nich nie przyjmuje żadnego udziału, sympatya zanika. Społeczeństwo się rozprasza i zarazem teatr ginie. Cyrk, bal i arena w zupełności go zastępują. Towarzystwa gymnastów, klownów, pantominy, menażerye — oto do kogo przyszłość należy. Londyn posiada już teraz cztery teatry na 25 tego rodzaju „spektaklów,“ w tym samym kierunku podąża Paryż.

Teatr zanika, ale literatura pozostaje mocną. Otóż niektóre kwestye zyskują na opracowaniu w formie dyalogu i niektóre talenty chętnie do niej się skłaniają. Dlatego też można przewidywać, iż pewne dzieła zawsze będą grane wobec koła wybranych. W tych akademiach poeci bezinteresowni wyrażać będą w dziełach pisanych artystycznie swą rezygnacyę w życiu czynnem i swą ironię w życiu kontemplacyjnem, gdyż rezygnacya i ironia są jedynemi stanowiskami możliwemi i nie śmiesznemi wobec powszechnego determinizmu. Przestaną nas nudzić tragizmem, który jest dla nas za wielki i komizmem, który jest za gruby. Takimi inicyatorami teatru literackiego są we Francyi Becques, Ancey, de Curel i głównie Céard. „Zrezygnowani“ Cearda, prawdziwe oratorya filozoficzne, głęboką wizyą życia, która odkrywa, nieubłaganą swą ironią, harmonią formy i pięknem stylu, stanowią pierwsze arcydzieło tego teatru, do którego należą także „Kruki“ i „Babunia“ Becques'a.

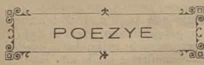
A jednak również jak widowiska ludowe, literatura ta nie jest teatrem, lecz czemś zupełnie innem. Wszak tyle gatunków zwierzęcych zniknęło z powierzchni ziemi — czemużby nie mogły także znikać gatunki artystyczne? Znajdujemy się właśnie wobec takiej agonii ostatecznej dramatu. Taki jest wniosek, do którego dochodzi Muhlfeld.

Wniosek ten wydaje nam się jednostronnym. Naprzód nie wierzymy, aby żadne węzły duchowe, ogólno-społeczne, już nie istniały, a głównie, żeby z czasem rozwinąć się nie mogły; powtóre, nie zaprzeczając wpływu środowiska na upadek teatru, sądzimy, iż przyczyny jego trzeba raczej szukać w wyczerpaniu sił twórczych, geniusza. Dramaturgowie czasów ubiegłych, o których pisaliśmy, dawali syntezę prądów duchowych swego wieku, nietylko artystyczną, ale uczuciową i umysłową. Oni stali u szczytu swej epoki. Synteza ta może już dla nas być spóźnioną, ale dla ludzi ówczesnych była odpowiednią. Grecy wyrażali w teatrze uczucia bohaterskie narodu. Francuzi — etykietę, salonowość, dowcip, Anglicy — żywiołową energię Odrodzenia, Hiszpania — ponury mistycyzm wiary. Kwestye powyższe stanowiły dla każdego z danych narodów węzeł społeczny, koło którego wszyscy obywatele mogli się skupiać. Dla nas wszystkie te spra-

wy — i im podobne — są stanowiskiem przeżytem. Co dla nas stanowi taką uniwersalność, taki szczyt, ku któremu wszystkie duchy się wznoszą z dowierzaniem i nadzieją, to wiedza. Tylko ta pogodna sfera, w której wszystkie umysły mogą się zrozumieć, stanowi węzeł powszechny dusz. Wszelkie inne sprawy materyalne, czy moralne są tylko źródłem nieznużek i rozstrzelenia sił. Tylko wiedza godzi te walki, odnajdując w nich prawidłowość i interesy dobra społecznego. Dla myśliciela wszelkie partye demokratów, arystokratów itp. są to tylko różnego rodzaju mrówki, z których każda spostrzega jedynie własny swój interes i dąży doń z zaciekłością, nie rozumiejąc, iż współdziałają dla dobra całego mrowiska i że podlegają ogólnym prawom, rządzącym jego rozwojem. Oczywiście iż tylko takiem nankowem powinno i może być stanowisko dramaturga w naszych czasach. Bo jeżeli przyjmuje stronę jednej z partyj walczących, to możemy być pewni, iż ogólnej syntezy nie da, t. j. właściwego dramatu nie zbuduje. Przyczyną upadku dramatu współczesnego nie jest więc rozstrzelenie interesów społecznych, gdyż one w rzeczywistości skierowane są zawsze ku wspólnym szczytom, ale w braku dramaturgów, którzyby na tych szczytach stanąć mogli i ogarnąć całość jednym wielkim, orlim rzutem oka.

Wszystkie zwątpienia, walki i krzyki ludzkie milkną wobec wiedzy, która jest mistrzynią świata i wprowadza w sprawy społeczne takąż samą harmonię, konieczność i piękno, jakie istnieją w świecie kosmicznym. Oto dziedzina, do której wszystkie umysły prędzej czy później podążą z zaufaniem i gdzie się pogodzić potrafią. Oto jedyny grunt, na którym synteza dramatyczna będzie mogła dopełniać życie, a gdzie mamy obecnie w sztuce taką syntezę? Należy przyznać, iż większość dramaturgów europejskich włada myślą niesystematyczną, dziecinną. Wszystkie te krzyki, miotania się, intrygi, które oni wprowadzają na scenę, dobre są dla pospólstwa, ludzi myśli one niecierpliwią. Jeżeli tak dalej pójdzie, to sztuka, a głównie dramat, który, jako obliczony na największą publiczność, jest najbardziej popularny, stanie się zabawą najlichszego gminu umysłowego, zabawą, od której ludzie myślący uciekać będą.

Dr. L. Winiarski.



Z cyklu: „Sonety północne.“

Światełko na morzu.

Noc głucha, ciemno, wicher. Szaleje toń morza.
Gór wodnych pędzą tłumy, dziesiątki tysiące,
W dal chmurną niosąc okręt przez dzikie bezdroża...
Szczęśliwyś ty, żeglarzu, gdy ujrzysz znów słońce,

Szaleją głębie morskie, wiatr w żaglach łopoce!
Ogromne krzyże rejów sięgają do fali,
I burza coraz głośniej w ciemnościach chychoce...
Lecz cóż to?.. Światło, światło! błysnęło tam w dali!

Niepewny blady promyk przez mgły się przedziera...
Zagasnął... znowu błysnął... Przecieram powieki...
Tam ludzie!... hej—witajcie, zbawienia wy gońce!

O, widać widać!... Znowu ciemno: wichrowa Megera
Porwała go i zgasnął. Czyż zgasnął na wieki?...
Szczęśliwy ten z żeglarzy, kto ujrzy znów słońce!

Tęsknota.

Do ciebie morze sine, wielkie nieskończenie,
Do ciebie, tajemnicze, za twą falą złotą
Wybiega dusza moja, znękana tęsknotą:
O morze, sine morze, daj mi ukojenie!

Krzyk się z lądu rozlega, szyderstwa i jęki,
Powietrze, zda się, całe brzmi ziemi rozgwarem,
I ten chaos mą duszę przygniata ciężarem
Jakiejś głuchej wewnętrznej, niewymownej męki.

Zwątpienia już nade mną latają jak sępy...

A tutaj modre fale w dal biegną bez szmeru,
Cudowne jakieś widma nad głębiami stoją,
Jak tych chórów anielskich skrzydlate zastępy,
Co wzażą swoje loty w krainach eteru...

O wielkie, ciche morze, weź mi duszę moją!

Opowieść.

Jak w puszczy dwa niedźwiedzie, zgłodniałe i wściekłe,
Porwaliśmy się z morzem wzajemnie za bary,
I może nigdy jeszcze, jak świat ten jest stary,
Nie grzmiały boje sroższe i bardziej zaciekłe.

Okropne było morze w swem dzikiem szaleństwie:
Potopem się rzucało na piersi okrętu,
To znowu go za włosy chwytało z odmętu,
Lubując się w niedoli i naszem męczeństwie.

I myśmy, broniąc życia, walczyli rozpacznie
Ostatkiem mocy naszej, ostatkiem nadziei,
Aż wreszcie zwolna stygnąć zaczęło w nas męztwo.

Lecz morze już natenczas ze wstydem, nieznacznie
Swe fale jęło cofać z wichrowej zawiei...
Gdy myśmy jeszcze trwali... Zwycięztwo, zwycięztwo!...

Szmery.

Iskrzy się chłodnych niebios szafirowe ciemię...
Objęte widnokręgiem, jak morze bezdenne,
Lazurowe przestworza kołyszą się senne,
I cisza nieskończona ogarnęła ziemię.

Sen popłynął bezdźwięcznie w bezmiarów toń siną,
A za nim jakieś głosy zerwały się z mroku,
I po chwili pieśń dziwna i pełna uroku
Potoczyła się w niebie szeroką lawiną.

Słychać tryumf w tej pieśni i skargę niemocy:
Jakby duchów żeglarzy płynące w dal jęki,
I ryk zwierząt polarnych, błądzących wśród ciemnic,

I głuche chrzęsty lodów ponurej północy,
I głębie zaświatowych nieuchwytne dźwięki,
I wielkie uroczyste, milczenie tajemnic ..

Polarna noc.

Niema słońca. Już zaszło. Na długie miesiące,
Na całą nieskończoną noc ciemną polarną
Zapadło ostatecznie w otchłań zimy czarną,
I nie wstanie już jutro: umarło już słońce!

Zgasły łuny tęczowe w szafirów głębinie,
A kiedy raz ostatni nad ziemią rozbłysły,
Wielkie łzy — gwiazdy jasne — z ócz nieba wytrysły,
I smutek beznadziejny ogarnął pustynię.

I oto teraz, nocą, wraz z lodami tymi
Płyną mgły biegunowe, i widma i ciemnie,
I chłód śmiertelny idzie z polarnych otchłani...

Zda się, górą, w przestworzach słychać skargę ziemi,
Jakiś głos, który w mroku woła nadaremnie:
O Eli, Eli, lama sabachtani!

Marjusz Zaruski.

O PRAWDĘ.

Petersburski *Kraj* umieścił w nr. 50 korespondencyę z Warszawy p. T. Sm., zatytułowaną: „Plotkarze i plotkarki.“ W szeregu wywodów znajdujemy następujące zdania: „Skoro jest plotka (w Warszawie), musiał ją ktoś spłodzić. Napróżno prasa się wysila. Wszystkie ślady zatarte. Plotka rodzi się chyba z niczego.“

Otóż ten próżny wysiłek prasy warszawskiej co do odszukania przyczyn i miejsca powstania plotki, przypomina nam przysłowiową trudność ujrzenia belki we własnem oku. Prasie trudno ujrzeć plotkarza, bo plotka stała się jednem z głównych wiązań tego olbrzymiego i zarazem misternego gmachu, jaki wzniosła ona sama i sama ochrzciła mianem nowoczesnego „szóstego mocarstwa.“ Wymagać od niej w danym wypadku prawdy — równałoby się pasować ją na rycerza tej cnoty, jaką starał się ludziom zaszczepić mędrzec grecki, głosząc im: znaj siebie samego.

Może kto słyszał opowieść o pewnym naczelniku kantonu, któremu dlatego nie udawały się z wielkim nakładem sprytu i kosztów urządzane obławy na bandę złodziejów, że za każdym razem wszyscy złodzieje wchodzili w skład samych poszukujących. Zaprawdę nie mniej pożałowania godnym bywa często dzisiejszy czytelnik i miłośnik wiadomości dostarczanych przez prasę, co i mieszkaniec owego kantonu.

Lecz prasa — to ludzie z temi samemi wadami, co czytelnik i świat cały, tj. z „próżniactwem, próżnością i tchórzostwem,“ którym to wadom p. T. Sm. przypisał plotkarstwo warszawskie, a nam dziwnem się wydaje, dlaczego poprostu nie wyliczyć siedmiu grzechów głównych. Specyalną wadą czytelnika jest tylko to, że zarówno psuje oczy i płaci za odczytywanie napomnień za własne grzechy, jak z żarliwością odczytuje wszystko to, co jest grzechem samej prasy.

A dzieje się to wszystko za dni naszych, kiedy słowo pisane rozrosło się do rozmiarów potwora, którego godłem stały się „sensacye“ kosztem prawdy, szybkość podania informacyj kosztem ich dokładności, tendencyjność i partyjność kosztem istotnego dążenia do ideału, jakim było i będzie zawsze dla ludzi szukanie prawdy.

Istotna twórczość w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu i prawdziwa nauka te tylko mają prawo przemawiać do tłumów słowem i piórem i tylko te słowa są mową i światłem niesionem ku pożytkowi po ciężkich drogach ludzkiego życia. Prasa bez tego musi upaść, jeżeli ludziom przyszłym sądzone jest stać się lepszymi od nas. To też być może niedocenioną jest dzisiaj ta szkoda, jaką przynosi rozwój sławiony dziennikarstwa, jego kłamliwa reklama, kierowanie i zarazem schlebianie opinii publicznej przez prasę, sztuczne podniecanie przez nią stadowych porywów, słowem to wszystko, co jest tylko potrzebą szukania i wytwarzania tematów dla rzemieślników pióra i ich warsztatu.

Powróćmy do plotki.

Rodzi się ona wszędzie, gdzie brak miłości bliźniego, a więc w bardzo wielu miejscach; rozdmuchaną została do potęgi politycznej i międzynarodowej dzięki tej prasie, która z tego żyje.

Potwierdzenie powyższego znaleźć można w bardzo wielu pismach i bardzo często. A świeży przykład jeszcze niezagojonej krzywdy, wyrządzonej przez plotkę prasową, znajdujemy w tym samym petersburskim *Kraju*. Wiedziony zawsze chęcią pozyskania tytułu pisma dobrze i szybko informowanego, pospieszył się z doniesieniem o rzekomem rozporządzeniu przymusowej sprzedaży w ciągu lat trzech majątków w kraju Południowo-Zachodnim, odziedziczonych przez osoby wyznań obcych.

Późniejsze odwołanie tej plotki przypomniało nam pamiętne słowa (królowej Jadwigi): „A któż im łzy wróci?“

Dr. K. Rogójski.

W DALI.

Mińsk. Różne epidemie dręczą mieszkańców już od paru miesięcy. Tyfus, ospa, szkarlatyna szerzyły się gwałtownie. Obecnie odra silnie panuje, do tego stopnia, że musiano na trzy tygodnie uwolnić ze szkół uczniów trzech niższych klas. Skutkiem takiego stanu zdrowotnego dopiero teraz daje się najdotkliwiej odczuwać brak szpitalów epidemicznych. Z tego powodu zarząd miejski wybrał nareszcie komisyę specyalną w celu opracowania i zbadania sprawy szpitalnej. Otóż komisya ta dowiedziała się, że w Astrachaniu, mieście bogatszem od Mińska, szpital dla epidemicznych otrzymał z ministeryum znaczną zapomogę na budowę, miasto zaś ma prawo ustanowienia podatku na utrzymanie zakładu. Na tej zasadzie komisya przedstawiła radzie miejskiej następujące wnioski: 1) W Mińsku konieczny jest szpital dla epidemicznych przynajmniej na 40 łóżek. 2) Należy za przykładem Astrachania przedsięwziąć zabiegi o zapomogę rządową w sumie 15,000 rb., tudzież prawo ustanowienia podatku. 3) Miasto powinno jednorazowo udzielić 2.000 rb. i wypłacać rocznie po 8,000, oraz polecić komisyi specyalnej opracowanie kosztorysu i planu budowy szpitala.

Żytomierz. Miasto otrzyma wkrótce oświetlenie elektryczne, które, na mocy kontraktu, zawartego z miastem, urządzi inż. Polakow. Przedsiębiorcy służy w ciągu 25 lat wyłączne prawo eksploatacyi stacyi centralnej; po upływie tego terminu cała stacya i wszelkie urządzenia przejdą na rzecz miasta bezpłatnie. Na mocy umowy obywatele miasta mogą w granicach swoich posiadłości zaprowadzać oświetlenie elektryczne bez pośrednictwa stacyi centralnej. Jest to więc umowa dla miasta i obywateli korzystna.

Kamieniec Podolski. D. 3 z. m. odbyło się pierwsze zgromadzenie ogólne członków świeżo założonego syndykatu rolniczego, który rozciąga swą działalność na 5 powiatów gub. Podolskiej i Besarabskiej. Przybyło około 70 obywateli ziemskich, z których tylko część zapisała się na członków, tak że suma zapisów wyniosła zaledwie 3,000 rb. Zgromadzeni wybrali do zarządu pp.: bar. S. Majdla, A. Sadowskiego, B. Żebrowskiego, K. Czerwińskiego, W. Giżyckiego, K. Wejdlicha i W. Chorzewskiego, ci zaś wybrali z pośród siebie p. K. Wejdlicha na dyrektora zarządzającego, a p. B. Żebrowskiego na jego zastępcę.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa opieki nad domem pracy w Kownie.

— Niebawem mają być wzbronione zapasy atletów na arenach publicznych, z powodu, że wpływają one ujemnie, rozbudzając namiętności niskie wśród widzów.

— Na koszty sprowadzania do Warszawy urzędników Rosyan, do służby w zarządzie policyi i w instytucyach miejskich, magistrat corocznie przeznacza w budżecie swym po 5,000 rb., na dodatkowe zaś wynagrodzenie urzędników Rosyan, z mocy rozporządzenia z d. 13 lipca 1897 r. i z d. 13 czerwca 1886 r., budżet miejski jest obciążony wydatkiem stałym również po 5,000 rb. rocznie. Suma ta jednak nie wystarcza i w roku bieżącym dodatkowo z tytułu takich opłat wydatkowano 11,997 rb. 60 k. (*Kur. Warsz.*).

Szkoły. Sprawa utworzenia wyższego instytutu gospodarczo-rolniczego dla kobiet ma być rozstrzygana przez ministeryum rolnictwa w marcu.

— Magistrat m. Warszawy wyznaczył na rok bieżący 10,000 rb. na otwarcie siedmiu oddziałów równoległych szkoły realnej.

— Książę Krystyan Hohenlohe ofiarował na rzecz politechniki warszawskiej 20,000 rb.

— Kandydatki do szkół specyalnych, starsze od uczennic gimnazyalnych, mogą, wedle orzeczenia ministeryum oświaty, zdawać egzaminy przepisane w gimnazyum, lecz nie mają prawa wstępować do tegoż.

— Departament policyi wystąpił z okólnikiem, zalecającym policyi zawiadamianie zwierzchności szkół właściwych i władz powiatowych o każdym wypadku z uczniami szkół wojskowych po za murami szkolnymi.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę półrocznych kursów handlowych Chwata w Warszawie. Dostępne są one dla uczniów płci obojej.

Prasa. Z rozporządzenia p. ministra spraw wewnętrznych, *Goniec Łódzki* zawieszono na 3 miesiące.

— *Warszawskij Dniewnik* ogłasza, „P. Główny Naczelnik kraju, na mocy Najwyżej zatwierdzonej d. 2 października 1876 r. uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego, skazał redektora i wydawcę gazety *Kuryer Polski*, Ludwika Straszewicza, na karę pieniężną w wysokości tysiąca rubli za umieszczone w nr. 1 tej gazety z d. 1 stycznia r. b. tendencyjne zestawienia epoki upadku Polski w XVIII stuleciu z teraźniejszym stanem rzeczy."

Konkursy. Rozstrzygnięto w Warszawie konkurs Godebskiego. Nagrodę pierwszą (350 rb.) otrzymał p. Władysław Mazur za figurę „Ze snu"; drugą (150 rb.) p. L. Nalborczyk za trzy biusty i sześć medalionów.

— *Gazeta świąteczna* w numerze wigilijnym ogłosiła konkurs na napisanie utworu powieściowego, albo rozprawki lub opisu z zakresu jednej z nauk: geologii, kosmografii, chemii, rolnictwa itd. Nagrodę jedną w ilości 200 rb. lub dwie po sto wyznaczą sędziowie, wedle własnego uznania. Warunki konkursu są następujące: Prace konkursowe powinny być: 1) napisane umiejętnie, czysto po polsku, bez cudzoziemskich wyrazów, zwrotów i innych naleciałości, w sposób łatwy do zrozumienia; 2) oparte na dokładnej znajomości opisywanych rzeczy lub stosunków; 3) nie dłuższe nad tysiąc lub ostatecznie półtora tysiąca wierszy — z dwóch utworów równej wartości pierwszeństwo do nagrody będzie miał krótszy; 4) od początku do końca prawdziwie zajmujące, budzące bądź ciekawość, bądź uczucia szlachetne, bądź wreszcie śmiech szczery i jednocześnie pod jakimkolwiek względem pożyteczne; 5) napisane poprawnie z własnej głowy pisarza (tj. nie tłomaczone z innego języka, ani też przepisywane skądkolwiek) i przydatne do wydrukowania w *Gazecie świątecznej* bez poprawek i przeróbek. Termin konkursu oznaczono na 1 kwietnia 1899 r. Rękopisy winny być posyłane do redakcyi *Gazety* (Plac Trzech Krzyży, 11).

Koleje i komunikacye. Od 13 stycznia oddany będzie do użytku publicznego telefon pomiędzy Petersburgiem i Moskwą. Za każde trzy minuty rozmowy pobierana będzie opłata 1 rb. 50 k. Za terminową rozmowę 4 rb. 50 k.

— Ministeryum komunikacyi wyjednywa na r. b. 10 mil. rb. na budowę kolei drugorzędnych i miejscowych, oraz 12 mil. rb. na budowę nowych kolei ogólno państwowych. W liczbie pierwszych dzienniki wymieniają drogi na północy, południu i wschodzie, między innemi koleje: Petersburg-Petrowodzk — Kem, linię Kachetyńską i inne na wschodzie, oraz przedłużenie odnogi Oranienbaumskiej kolei bałtyckiej.

Przemysł i handel. Instrukcya w sprawie podatku przemysłowego uległa zmianie. Departament przemysłu i handlu dopełnia obecnie rewizyi tej instrukcyi.

— Celem ułatwienia rachunków monetą złotą, postanowiono wybić i puścić w obieg złotą monetę dziesięciorublową.

— Ministeryum finansów zamierza rozszerzyć prawo sprzedaży wódki skarbowej przez sklepy drobne i powiększyć komisowe.

— Rada zgromadzenia inżenierów-technologów w Petersburgu zwróciła się do dyrektora Instytutu technologicznego petersburskiego z prośbą o wyjednanie u ministra oświaty zmiany ustawy Instytutu w tym kierunku, azeby kończący ów zakład ze stopniem inżeniera-technologa i technologa posiadał szersze prawa doprowadzenia robót budowlanych.

— Urząd starszych cechu majstrów ślusarskich w Warszawie otrzymał od firmy ślusarskiej pp.: Ogórkiewicza i Zagórnego sumę rb. 600 jako zadatek na fundusz stypendyalny dla czeladników, wyjeżdżających za granicę, w celu dalszego kształcenia się. Urząd cechu żywi nadzieję, iż za przykładem wymienionych powyżej ofiarodawców, pójdą inni ślusarze.

— W Warszawie powstało Towarzystwo akcyjne fabryki machin do wyrobu narzędzi pod firmą „Gerlach i Pulst," z kapitałem w sumie miliona rubli.

Katastrofa. D. 29 grudnia na kolei Obwodowej warszawskiej starł się pociąg towarowy z osobowym. Wypadków z ludźmi nie było.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Felicyi D. w Razaniu. Jest tylko jedno: *Przyjaciel Dzieci*, kosztuje z przesyłką pocztową 5 rb. rocznie.

Pani M. W. Obraz niejasny, a wyrażenia przesadne.

Mirezzi. Jakiś obraz zaczął się rysować i znikł. Skutkiem tego kilka wyrażeń dobrych, a całość zamazana.

Sławiczowi. Rzecz bardzo słaba.

Panu Wacławowi N. w Łodzi. Co to ma być?

P. Świdnickiemu w Niepołomnicach. Drugi tom „Poradnika" wyjdzie za parę miesięcy.

Panu R. Jank. „Poważny" sąd o chiromancyi widzi w niej tylko zabawkę, przesąd lub szarlataneryę. Ma ona wszakże swoją literaturę, a nawet osobne czasopisma (w Anglii, Ameryce). Główne dzieła: Bolesławski: „Die Chiromanzie" (1849), Landberg: „Der Handteller" (1861), J. F. Pierer: „Chiromancya" (Warszawa, 1829), Desbarolles: „Les mystères de la main révélés" (1859), A. W. W.: „Tajemnice ręki i głowy" (Warszawa, 1806) i inne, na które również szkoda czasu.



OFIARY.

Na wpisy dla uczniów: „Jeden z tych, co w podobnych warunkach kończyli nauki" — rb. 5.

Na kolonie letnie: M. G. z Zawiercia w rocznicę zgonu H. Natansona — rb. 5.

Oddział rozdawnictwa odzieży i opału przy W. T. Dobroczynności.

W obecnym zimowym sezonie Komitet Rozdawnictwa odzieży i opału dla ubogich miasta Warszawy, rozpoczynając doroczną działalność swoją, ma zaszczyt zwrócić się do Szanownej Publiczności z najuprzejmiejszą prośbą o poparcie Instytucyi, mającej na celu przyjście w pomoc ubogim wszelkiego wieku i kategoryi, tj. dzieciom, starcom, i ludziom pozbawionym możności pracy i narażonym na choroby skutkiem zimna i braku odpowiedniej odzieży. Wszelkie bodaj najskromniejsze ofiary pod postacią tak datków pieniężnych, jak węgla, materyałów wysortowanych, lub garderoby używanej, będą przyjmowane z największą wdzięcznością. Uprasza się o nadsyłanie takowych pod adresem kierującej Rozdawnictwem, pani Gabryeli Rychłowskiej w Warszawie, ul. Wielka nr. 45. Znając litościwe serca naszej szanownej publiczności jesteśmy głęboko przekonani, ze pospieszy ze swoją pomocą i poparciem w tej wielkiej sprawie miłosierdzia. Polecamy też gorąco prośbę naszą wszystkim sercom litościwym, pozostając z poważaniem

Prezesowa *Zofia Kossakowska*.
Główna opiekunka *Zofia Hartingh*.
Protektorka *Marya Wincentowa Colonna Walewska*.
Kierująca Rozdawnictwem *Gabryela Rychłowska*.
Sekretarz *Antoni Kudasiewicz*.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Декабря 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.